Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

X.

Aby walka z nieprzyjacielem groźnym prowadzoną być mogła skutecznie, niezbędnem jest dostateczne obeznanie się ze zwyczajami i sposobami używanemi przez wroga. A więc znawstwo ptactwa drapieżnego, biegłość w rozpoznawaniu lotu tegoż i jego cech charakterystycznych, jest niemniej potrzebne dla myśliwego, jak znawstwo tropów zwierza. Częstokroć sama sylweta ptaka w locie, szybkość lotu lub charakterystyczne uderzenia skrzydeł dają już wystarczające objaśnienia, gdy innych cech brakuje.

W szczególności biegłość w rozpoznawaniu gatunku ptaków drapieżnych według lotu, jest rzeczą nadzwyczaj ważną, bo rzadko tylko poznać je można po upierzeniu. Wielkość sama, zwłaszcza w oddaleniu, w jakiem się zwykle od człowieka trzymają te niedowierzające ptaki, nie da się dobrze ocenić i myli niejednokrotnie. Brak rutyny, t. z. myśliwskiego oka wskutek niedostatecznego ćwiczenia w tym względzie, doprowadza nieraz i tęgich zresztą myśliwych do rozczarowania i grubych pomyłek, a wreszcie do przypisywania pewnym gatunkom cech, których one nie mają, i bałamucenia innych faktami w najlepszej wierze podawanemi.

Młodemu adeptowi łowiectwa nauka o budowie, rozmiarach, upierzeniu ptaka i jego kształtach charakterystycznych w locie, będzie nadzwyczaj pomocną na progu zawodu, i dozwoli mu uniknąć grubych błędów, podobnie jak przy ocenianiu tropów, gdzie rażące pomyłki wynikają z nieznajomości budowy odnóży, i nie znajdzie się biedny myśliwy w sytuacyi np. tak nieszczęśliwej, że weźmie trop wydry na wilgotnym piasku za trop gęsi, jak się to już rzeczywiście zdarzyło. Nawet powierzchowny pogląd na odnóża wydry byłby go już pouczył, iż posiada ona na każdej nodze cztery błony pływne, podczas gdy gęś ma ich dwie tylko, a dalsza ciekawość przekonałaby go, iż niema ptaka pływającego, któryby posiadał aż cztery palce, że żaden trop o wyraźnych czterech palcach do ptaka należeć nie może. Widziałem już wielu myśliwych, którzy tropu kuny i tchórza odróżnić nie-

mogli, a jeszcze więcej takich, dla których każdy ptak drapieżny był jastrzębiem, albo którzy mając już w ręku zabitego ptaka, jeszcze go nazwać nie umieli.

Upierzenie tak się różni u jednego i tego samego gatunku i rodzaju, stosownie do płci, wieku ptaka i pory roku, iż trzeba być bardzo specyalnym ornitologiem, aby się wyznać w tym chaosie barw. Dopiero zwrócenie uwagi na kształty ptaka w całości i charakterystyczne cechy lotu, dadzą pewność w rozpoznawaniu, i co najwięcej mogą zajść pomyłki w odróżnieniu bardzo pokrewnych odmian, na czem znów myśliwemu zbyt wiele zależeć nie może.

Przykładając tyle wagi do przedmiotu, pozwolę sobie rozwinąć choćby najskromniejszych rozmiarów obrazek naszych lotnych drapieżców, obrazek nieobojętny dla każdego, kto pragnie sobie zdać rzetelną sprawę z całości ekonomii łowieckiej.

Wielkość jednego i tego samego gatunku ptaków drapieżnych w stosunkach, w jakich je zwykle widzimy, zawodzi o tyle, iż rutynowany nawet myśliwy może wziąść samicę krogulca, która z pomiędzy wszystkich ptaków drapieżnych najbardziej różni się wielkością od samca, za samca gołębiarza lub przeciwnie, pomimo, iż nawet w tych ostatecznych granicach wielkości rodzajów jasne są różnice, gdyż siąg skrzydeł największej samicy krogulca nie przenosi 33″, podczas gdy u samca jastrzębia co najmniej do 35″ sięga.

Różnice w wielkości wedle płci charakteryzują cały rodzaj ptaków drapieżnych. Objaśnia to niniejsza tabliczka, w której zestawiłem nasze gatunki krajowe:

Nazwa ptaka	Samiec		Samica	
	długość	siąg	długość	siąg
	centimetrów			
Orzeł przedni *Aquila nobilis*	81	197	93	222
Orlik *Aquila naevia*	64	158	67	162
Bielik *Haliaetos albicilla*	78	217	90	236
Rybołów *Pandion Haliaetos*	59	165	61	168
Myszołów *Buteo vulgaris*	54	131	57	134
„ wołochaty *Archibuteo lagopus*	53	132	57	142
Kania *Milvus regalis*	67	153	70	163
Sokoł *Falco peregrinus*	42	96	49	112
Drzemlik *Aesalon lithofalco*				
Kobczyk *Erythropus vespertinus* . .	26	72	30	76
Pustułka *Falco tinnunculus*	34	72	35	77
Jastrząb *Astur palumbarius*	52	103	62	118
Krogulec *Accipiter nissus*	30	61	38	77
Błotniak stawowy *Circus rufus* . . .	51	123	53	130
„ zbożowy *Strigiceps cyaneus*	45	104	53	115
Puchacz *Bubo maximus*	59	149	71	170

Różnice wielkości nie są zawsze tak rażące, zawsze jednak dostateczne, aby w locie, gdy się obie płci, równocześnie widzi, stanowczo je odróżnić. Gdy młode niewyrosłe pokolenie buja razem z rodzicami, to u większości ptaków drapieżnych zupełnie odmienne ubarwienie młodych ptaków wytwarza możliwe pomyłki.

Ustawowy podział ptaków drapieżnych na szkodliwe i pożyteczne, o ile jest właściwy z punktu szerszego zakroju widzenia, o tyle obronić by się nie dał ze względów czysto łowieckich. Żaden z tych krzywodziubów i krzywoszponów nie może się przyczynić do poprawienia stosunków łowieckich, bo ród ten brzydzi się całą filozofią wegetaryanów i hołduje, podobnie jak całe nasze cywilizowane i oświecone społeczeństwo, ciągłym ofiarom krwawym. Tu niema żadnych pozorów, żadnych symbolów i mysteryj, dziób i szpony szarpią wszystko co żyje i z czego krew płynie, a w braku szarpią i najwstrętniejszą padlinę, gdy życia niszczyć nie mogą.

Jak cała nasza wiedza o przyrodzie jest nieskończoną, i zawsze w niej *dies diem docet*, tak też i wszystkie ustawy, chcące paragrafami regulować gospodarstwo przyrody, nie mogą mieć pretensyi do bezwzględnej doskonałości. Szanować je musimy, bo są niezbędne, a swoją drogą pracować nad ciągłą reformą tych trudnych budowli, mających na celu korektę przyrody na korzyść ludzkości.

Wszystkie ptaki drapieżne odznacza lot bądź wytrzymały, bądź rączy i zgrabny. Od tego zależy ich istnienie. Tam, gdzie brak chyżości, zastępuje ją szczególna wytrwałość, fortele lotu, wielka zwinność w użyciu skrzydła, szczególna inteligencya, przebiegłość, pamięć i przytomność, któremi biorą górę nawet nad najdzielniejszymi latawcami.

W rodzie tym są albo nieustraszeni rycerze, przeceniający w otwartej walce swą siłę, albo sprytni rabusie, którym odwagi nie brak, to znów prości złodzieje, albo wreszcie uprzykrzeni żebracy, którzy wiele mają chęci do mordów i łupieży, ale jakoś nie dowierzają swym siłom i zdolnościom, i poprzestają na wyproszonych ochłapach z pańskich stołów, lub porywają się tylko na bezbronne i nieudolne istoty, składając na nich straszne dowody swej krwi chciwej natury.

Niemal wszystkie ptaki drapieżne zataczają w locie tak zwane koła, czyli krążą w rozmaitej wysokości, wznosząc się nieraz o tyle, iż ptak rozpływa się dla oka na tle nieba, a tylko głosy zdradzają go. Pomimo, iż nie znam ptaka z rodu dziennych drapieżców, któryby w pewnych okolicznościach nie wykonywał praktyki krążenia, to przecież istnieją tu ogromne różnice; jedne krążą zbyt rzadko, inne prawie bezustatannie. Pora godowa, ćwiczenia wylatującej młodzieży, wypatrywanie zdobyczy, powodują ptaka do krążenia.

Podczas gdy orły i myszołowy zataczają koło bez widocznego ruchu skrzydeł, dostrzedz można u kani pewne ruchy ogona i drgania skrajnych lotek. Orły po pewnym czasie krążenia silnemi ruchami skrzydeł nadają ciału chyżość większą i następnie coraz to wyżej zataczając koła, wznoszą się w górę. Zjawisko to, nie obserwowane w całości przebiegu, wprowadzić może w podziw, bo według tego co powszechnie widzimy, ptak z rozprzestrzenionemi skrzydłami, bez wachlowania, powinienby w linii ukośnej zniżać się ku ziemi. Przy wielkiej wszakże chyżości progresywnej, jaką ptak poprzedniem wachlowaniem ciału nadał, a stosunkowo małej wadze ciała, wypadkowa z tych dwóch sił nabiera bardzo tylko słabego ku ziemi pochylenia. To też ptak, nie używając żadnych fortelów, bardzo powoli ku ziemi się zniża, tem wolniej, o ile płaszczyzna skrzydeł na coraz to nowe warstwy powietrza natrafia.

Inaczej mają się rzeczy, gdy ptak przy pomocy pewnych nieoznaczonych i niewidocznych ruchów przedniej lub tylnej krawędzi skrzydła, chce nadal bez wachlowania krążyć; przemienia on wtenczas owemi fortelami w użyciu skrzydła bądź część chyżości progresywnej na utrzymanie w jednym poziomie ciała, któreby inaczej pod działaniem prawa ciążenia opadało, bądź wzmacnia chyżość posuwania się w locie, ale równocześnie opada w coraz to niższe warstwy powietrza. W pierwszym razie potrzebuje on tylko wznieść nieco w górę przednią krawędź skrzydła, w drugim zaś wznosi tylną krawędź tegoż. Przy bardzo znacznej chyżości progresywnej może nastąpić w pewnym wypadku na-

wet wzniesienie się pozornie nieruchomego ptaka, co też często w naturze dostrzegać się daje, a ruchy te są analogiczne z zachowaniem się ciał na t. z. płaszczyźnie pochyłej, którą w tym wypadku jest powietrze. Długo takie wznoszenie się bez wachlowania skrzydeł trwać nie może, bo odbywając się kosztem chyżości, powoduje do energiczniejszego działania prawo ciążenia. Rządzi tu zatem prawo, iż opór przeciw opadaniu maleje w powietrzu w miarę zmniejszania się chyżości progresywnej.

Gdyby nie widlaty i bardzo długi stosunkowo ogon u kani, mogłaby krążąca kania zmylić niewprawne oko. Lekkim a nie szybkim, ważącym się lotem przelatują ptaki te nieraz dnie całe, nisko po nad ziemią, badawczym okiem i słuchem szpiegują każdy zaułek, każdą zarośl. Lecz na szczęście drapieżnik ten nie posiada dosyć odwagi, by napastował większe stworzenia, zadawalnia się rybkami, chwytając je bardzo sprytnie, porywa drobniejsze płazy, owady, i tylko strasznie gospodaruje, dostawszy się wśród nieudolną młodzież byle jakiego ptactwa, pustoszy gniazda w sposób okrutny, a dokucza i innym drapieżnikom i zmusza je swem natręctwem do opuszczenia pochwyconej zdobyczy. Kania, doprowadzona głodem do jakiegoś grubszego rabunku, łatwo przepłoszyć się daje; zniechęcona leci dalej, pewnie w nadziei, że i tak bez mozołów trafi się jej gratka. Żer połyka łakomo na ziemi, większe przedmioty unosi w miejsca spokojne. Jakkolwiek jest to ptak ostrożny i niedowierzający człowiekowi, to przecież na polowaniach błotnych i wodnych, osobliwie wśród zarośli, nadlatuje często na strzał.

Nie widziałem aby kanie zawisały nieruchomie w powietrzu, jak to czynią inne ptaki drapieżne, a na żer spuszczają się zawsze lotem lekkim i w ten sposób się zrywają do lotu.

Ptaki te w dwóch odmianach: *Milvus regalis* kania kasztanowata i *Milvus niger* kania czarna, są pospolitem u nas zjawiskiem, dokąd wody i bagna nie zamarzną. Zwykle ze stopniowym odlotem wodnego ptactwa, odlatują i one, stając się coraz to rzadszemi. Lecz już z pierwszym brzaskiem wiosny, gdy tylko pierwsze forpoczty ptactwa przybywają, zjawiają się i kanie, a ktoby ich nie widział, to je usłyszy, bo witają radośnie dobrze znane strony, na których się znów świeżo dla nich stół nakrywa.

Mówiąc o kaniach, przypomina się mimowolnie ptak niby to drapieżny, bo nosi wszystkie cechy zewnętrzne drapieżnika, ale taki jakiś skromny w swych wymaganiach, taki specyalista entomolog a nawet wegetaryanin, iż ustawa najsłuszniej go ochrania. To pszczołojad, *Wespenbussard (Pernis apivorus)* coś podobnego i do kani i do myszołowa, ptak wielki, bo samice i do 50" w siągu dochodzą. Pada on często ofiarą niedoświadczonych myśliwych, bo jest dosyć wielkim, aby zachęcić do strzału a znów nie bardzo ostrożnym, aby się ochronić. Pomimo, iż zewnętrzny jego wygląd nie da się tak łatwo opisać, zwłaszcza, że ubarwia się według pory rozmaicie, poznać go można bardzo łatwo po locie. Przelatuje on najczęściej lekkim a powolnym lotem z drzewa na drzewo, lub leci nisko nad ziemią, zawiesza się często w powietrzu i bardzo flegmatycznie spuszcza się na ziemię z podniesionemi w górę skrzydłami, a wykonuje to wszystko z taką jakąś flegmatyczną powagą, iż rzeczywiście trzeba być gniazdem owadziem, aby uledz jego napaści, bo i szybszy owad umknie mu w trawie. To też często spuściwszy się na ziemię, poczyna piechotą komiczną gonitwę za czemś, co tylko wolno pełza lub chodzi, a wykonuje tę praktykę bardzo zgrabnie pomimo zbyt krótkich odnóży, czem też zdaleka od innych ptaków drapieżnych odróżnić się daje. Jest to najlepszy piechur pomiędzy drapieżcami, speceruje chętnie, z wielką pilnością rozgrzebuje gniazda ziemnych owadów, potrząsa komicznie głową opędzając się od jadowitych mieszkańców tychże, i wcale ich nie zjada, gdyż tylko czerw nęci jego łakomstwo. O ile więcej ten ptak chodzi, o tyle też mniej lata, i stąd mniej narzuca się oczom i wydaje się rzadkim, chociaż w istocie, jest dość powszechnem zjawiskiem w całym kraju. Nie bez tego, iż ten skromniś popełni czasem jakieś morderstwo większego stworzenia, zwłaszcza w porze lęgowej łowi nieraz coś dosadniejszego dziatwie, chwyta młode chomiki, żaby, myszy lub pisklęta, bo żer, który mu najbardziej odpowiada, wcale się do transportu nie nadaje i tylko na miejscu musi być mozolnie wybierany.

Łatwe do poznania w locie są wszystkie orły; już w zrywaniu się odznaczają się przechylaniem ciała do poziomu i bardzo powolnem roztaczaniem skrzydeł. Ruch skrzydeł w locie powolny i regularny, a kontury odmienne nawet w znacznem oddaleniu odróżnić można. Podczas gdy u kani długość ciała od dzióba do końca ogona mieści się w siągu 2·3 razy, u orła przedniego 2·4, u orlika 2·5, u orła włochatego 2·75, u rybołowa 2·8, u bielika 2·6 — jedynie orzeł zyz, posiadający dłuższy ogon i szyję, zniża się w tym stosunku aż do 2·2. Stąd orły w ogólności cechuje charakter zwięzłości i siły ciała.

Pojedyncze gatunki orłów dają się odróżnić po pewnych stałych cechach ubarwienia, które osobliwie w locie są widoczne, albo po odrębnym kształcie pewnych części. I tak bielik i orzeł zyz mają ogony zaokrąglone, pierwszy cały ogon biały, a drugi biały z ciemnym pasmem; orzeł królewski ma ogon jakby równo przycięty, rybołów wygina bardzo silnie skrzydła w locie, inne gatunki orłów mniejszych już sama wielkość charakteryzuje. Dalsze, subtelne różnice tych rabusiów nie należą już do zakresu koniecznego znawstwa myśliwskiego.

Wogólności orły nie zatrzymują się w locie tak długo w celach zdobyczy, jak to czynią myszołów i inne drobne sokoły, niemniej lot ich nie przyspiesza się tak jak u sokoła lub krogulca, jest on zawsze miarowy, poważny, więc tylko wytrwałością i siłą pokonują one zdobycz forsując swą ofiarę. W braku żywej zdobyczy, rzucają się na padlinę i tam wcale nie królewską wyprawiają sobie ucztę. Zawisają w powietrzu, a po upatrzeniu ofiary spuszczają się z niepospolitą chyżością przy ściągniętych skrzydłach, przyczem tylko ciężar ciała zdaje się działać. Świetne ewolucyje, jakie niemal wszystkie orły w locie wykonują, dają miarę nadzwyczajnego mechanizmu ich skrzydeł; sztuki powietrzne, jakie towarzystwo lub rodzina orłów wyprawia, są nieprześcignione.

Większe gatunki orłów, a osobliwie orzeł zyz, sprawić mogą w zwierzostanach kniei straszne spustoszenie, forsują i zabijają nawet sarny. Kilka takich rabusiów w lesie mogą gorzej od wilków wyniszczyć wszystko, zwłaszcza że gatunek ten w równinach pojawia się z opadnięciem śniegów, i wśród kniei z liścia ogołoconej urządza swe straszne łowy. Również w tej porze zjawia się na dołach orzeł przedni, podczas gdy mniej niebezpieczny i leniwy orlik, także orłem krzykliwym zwany, odlatuje nas na zimę. Ustawa nie zalicza tych małych gatunków orłów do ptaków szkodliwych; mają się one żywić myszami, gadami i zdechłą rybą (?), nie przeszkadza im to jednak łowić kawki, młode gęsi i pustoszyć gniazda, co wszystko na własne oczy widywałem. Ciemno brunatne wielkie ptaki, napuszone, przesiadujące w nieruchomej pozycyi długi czas na stertach, kopicach siana,

półkopach, zeschłych gałęziach drzew odosobnionych, wśród pola na miedzach, są po największej części odmianami wspomnianych orlików.

Niebezpieczny bielik spędza zimę w naszych lasach i widzieć go można nieraz, gdy o zmroku lata, wypatrując zdobycz. Orzeł ten znać widzi w zmroku doskonale i tem daje się rozpoznać najpewniej. Kto się dobrze zna z myszołowem, ten nie posądzi tego rodzaju ptaków o zbyt napastliwe w naturze stanowisko. Ptak, co dużo siedzi, spoczywa, duma, medytuje, nie może mieć i wielkiego apetytu, zwłaszcza, gdy ociężała struktura nie zawsze jeszcze dozwala go zaspokoić. Że chęci czasem nie braknie, bo siła jest potemu, tego nie przeczę; niejedną przepiórkę, niejedną kuropatwę a nawet zajączka widywałem na stole tych ustawą strzeżonych ptaków. Z niedowierzaniem też spogląda na myszołowa myśliwy, a widzi go cały rok, bo gdy jedna odmiana nas opuszcza na zimę, zjawia się druga w późnej jesieni.

Niezwykły żer, jakim są od pewnego czasu u nas myszy polne, zatrzymuje do pewnego stopnia i naszego letniego myszołowa przez zimę, a w połączeniu z myszołowem wołochatym urządzają sobie oni bezustannie łowy na myszy polne.

Myszołowy przelatują nad polami ociężałym lotem już to z widocznem poruszeniem skrzydeł, już to jak orły zataczają koła, lub zawisają w powietrzu i spuszczają się przy w z n i e s i o n y c h do góry skrzydłach na zdobycz.

Porywanie się myszołowów jest wielce podobne do zrywania się orłów; podobnie jak one myszołów przed zerwaniem się do poziomu ciało wyciąga, a rozpuściwszy skrzydła i wypróżniwszy się, dopiero się podnosi. Ptak ten, widocznie mocno zajęty trawieniem, przesiaduje nieraz pół dnia w jednem miejscu i daje się o wiele łatwiej zejść lub zjechać, jak inne ptaki drapieżne. Żer chwyta zawsze na ziemi, bo zresztą musiałby to być jakiś szczególny niedołęga, któregoby ociężały ten ptak zdołał w powietrzu pochwycić.

Najczęściej daje się spostrzegać podlatując w jednem miejscu i spuszczając się w sposób opisany nie zbyt szybko, bo na to nie dozwalają nie ściągnięte ku ciału ale wgórę podniesione skrzydła. Nieraz ruchy te kilka razy powtarza, póki nie pochwyci myszy lub innego żyjątka, które zwykle na miejscu zjada.

Na szczęście, iż ptaki o których teraz kilka słów chcę pomówić, nie są zbyt częstem u nas zjawiskiem, pojawiają się jednak wszędzie i nigdzie do nieznanych nie należą. Są to sokoły: raróg, szlachcic i drzemlik — ideały odwagi, siły, zgrabności i chyżości. Szczególnie pierwszy znany jest u nas powszechnie. Ptak o takich przymiotach, istota usposobiona znakomicie do popełniania wszelkich gwałtów, nie może być w przyrodzie bardzo rozpowszechnioną, bo inaczej zabrakłoby wkrótce temu plemieniu warunków istnienia. Lecz rzadkie występy tego w całym słowa znaczeniu rycerza-bandyty są już straszne, a wędrówki jego przez jakąś okolicę, lub dłuższy na miejscu pobyt, są istnym biczem bożym dla wszystkiego co lata i biega, i co może być przez tego mordercę pokonane. Co u innych drapieżców albo wcale nie istnieje albo tylko w małym stopniu, to u sokołów objawia się w całej pełni a przedewszystkiem możność powiększania chyżości lotu aż do granic, gdzie nikną w ruchu kontury ptaka. Ile razy zdarzyło mi się widzieć a bodaj słyszeć sokoła w takiej chwili, tyle razy odniosłem jakieś demoniczne wrażenie ze zjawiska tego ptaka. W ruchu tak szybkim zwykliśmy widzieć tylko ciała martwe, więc gdy się widzi organizm poruszający się z taką szybkością w kierunku poziomym, to wrażenie jest w istocie niezwykłe. Jakiż to ustrój, jakaż to siła nadzwyczajna, która zdolną jest wprawić na zawołanie ciało w ruch taki, jakież to płuca, które pod tak strasznem parciem oddychać są w stanie! Ale sokół wtenczas nie oddycha, on do tego niema czasu, on teraz przeniósł się w chyżość, a zapasy niezbędnej energii już poprzednio musiał nagromadzić w ciele i teraz w szalonym ruchu warczą tylko skrzydła jak kipiąca woda i cały ptak niby meteor w zatartych konturach niknie powietrznym szlakiem. Zdobycz mniejszą chwyta w locie szponami, większą własnym ciałem uderza i otumania, gdyż potężny to musi być cios, zależny od masy i chyżości uderzającego przedmiotu; odurzoną ofiarę gniecie i szarpie lub, jeśli to niemożliwe w powietrzu, nasiada na ziemi i w straszny sposób morduje. Co może unieść to zaraz odnosi, a może wiele udźwignąć, bo dwa razy tyle jak sam waży. Większą zdobycz zaraz na miejscu tranżeruje z wielką znajomością rzeczy i nie zjedzoną resztę dopiero unosi. I tu znów święci drugi tryumf lotu i siły, gdy z kaczką lub połówką zająca zmyka. Wówczas niby nie ten sam, wolnym lotem uchodzi w bezpieczną ustroń, niby jakichś fantastycznych kształtów gryf, tak dziwną sylwetkę przedstawia na tle nieba. Nieszczęśliwe są kawki, gołębie, kuropatwy, cietrzewie i t. p. w których stadku rozpocznie sokoł swą gospodarkę. Jakby z zegarkiem w ręku spada ten straszny meteor dwa razy dziennie, lecz punktualność ta jest jego najsłabszą stroną i prowadzi go najczęściej do zguby. Raz przepłoszony zmiarkowawszy co się święci, zmienia natychmiast plan i porę napadów. W godzinach południowych siedzi na suchej gałęzi, i niby spi, ale otwarte oko baczną na wszystko zwraca uwagę.

Sokoł wędrowny niezwykł się często zawieszać nieruchomo w powietrzu, jak to czynią pokrewne mu gatunki sokolików drobnych, i było by mu to zupełnie niepotrzebne wobec możności nadania ciału ogromnej chyżości w jakimkolwiek kierunku.

Zjawienie się sokoła na widnokręgu, ogromną między ptactwem sieje trwogę, a nawet ten uprzykrzony ptakom drapieżnym krzykliwy tłum wron, gawronów i t. p. który przed chwilą bił na jastrzębia arogancko i zuchwale, wynosi się z miną jakby go za drzwi wyrzucono, i zdaleka jeszcze głosi ochrypłym wrzaskiem przestrach.

Częstokroć widzieć można sokoła przelatującego lekkim lotem dość nisko po nad pola i łąki, widać wyraźny ruch skrzydeł, a ptak to się wznosi to się zniża; wypatruje on coś żyjącego na ziemi i pragnie wystraszyć, bo w trawie lub na ziemi chwytać nie lubi a może się wstydzi. Lecz niech tylko mignie skrzydełko nad ziemią, już sokół przy niem, a dopadłszy ofiary hamować się musi w locie, staje niemal pionowo w powietrzu, rozpuszcza szeroko ogon, skrzydłami rozpoztartemi zapiera się a szponami już ściąga zdobycz w powietrzu.

Krótki ten ale z życia wzięty opis łowów i lotu sokoła daje niejakie wyobrażenie o strasznem jego dla łowiectwa znaczeniu.

Już wczesnej jesieni pojawia się u nas niezwracający wiele na siebie uwagi niewielki sokolik t. z. drzemlik; jest to drapieżca znakomity w swoim zakresie, a w szczególności kszyków niszczyciel. Patrząc na tego ptaszka trudno uwierzyć, iż uderza on nawet na gołębie i kuropatwy, zwłaszcza, iż niektórzy naturaliści robią z niego bardzo skromnego niedołęgę. Gdyby drzemlik był pokaźniejszym, to jużby go może i nie było, naraża się bowiem zanadto siadając o kilkanaście kroków od człowieka, poczem go też i łatwo poznać. Zdobycz chwyta zawsze w locie, a co się tylko dotknie ziemi, tego już nie ściga i leci dalej. Zdarzyło mi się widzieć, jak so-

kolik ten, wypadłszy niewiedzieć skąd, uderza na lecącego kszyka z przodu, który na przeciw lecącemu już wyminąć nie mógł: nastąpiło niby uderzenie w powietrzu, poczem drzemlik z kszykiem w szponach leciał dalej w swą stronę.

Kobuz (*Falco subbuteo*), jako zdeklarowany członek rodziny szlachetnych sokołów, pomimo iż jest o wiele słabiej zbudowany od drzemlika, pomimo że nie tak odważny, z tego tylko powodu, iż przebywa u nas przez lato, wyrządza w porze lęgowej chwytaniem młodego ptactwa znaczne szkody. W locie ptak ten jest miniaturą poniekąd sokoła wędrownego, i w świecie drobnego ptactwa podobne czyni spustoszenia. To też jaskółki, wróble, skowronki, sikorki i inne drobne ptactwo ogromny przed nim respekt czują, bo kobuz i bije w powietrzu i chwyta w locie i nasiada na ziemi pożerając zaraz swą zdobycz. Jeżeli jaskółki zaczynają mocno ćwierkotać i unoszą się w górę, to z pewnością dostrzegły gdzieś siedzącego kobuza, który tylko stosownej chwili do gwałtownego napadu wypatruje. Jedyną ucieczką dla drobnego ptactwa są wówczas wyżyny powietrzne, dokąd niezwykł sięgać kobuz, urządzając zwykle łowy nad ziemią wśród stad, które wcale się takiego gościa nie spodziewają. Podczas gdy inne sokoły dwoma szponami ofiarę porywają, on sięga zawsze tylko jednym, poczem go też najlepiej poznać można, jeżeli charakterystyka lotu w oko nie wpadnie, sokolik ten bowiem trzyma w locie zawsze krzydła nieco złożone, przezco jaskółczych kształtów nabiera, tem bardziej, że skrzydła jego są ostro zakończone. Niegdyś układano tego sokolika do łowów na bekasy i przepiórki, lecz zdaje się, iż nigdy w tem nie celował. Nie miałem nigdy sposobności dostrzedz, aby ptak ten łowił większe ptaszki, jak kszyki, przepiórki, drozdy, o czem niektórzy naturaliści wspominają; natomiast widziałem go bardzo często, jak uganiał się za chrabąszczami wśród pól w mrocznej już porze, zjadając je w powietrzu.

Kobczyk (*Falco vespertinus*) i pustułka (*Falco tinnunculus*) zawieszają się często w powietrzu, skąd przy ściągniętych ku ciału skrzydłach na upatrzoną zdobycz spadają. Ptaki te nie święcą nigdy tryumfów lotu w tym stopniu, jak prawdziwe sokoły, zdobycz porywają zwykle na ziemi i tam ją spożywają. Lot ich jest lekki, bardzo zgrabny, osobliwie gdy krążą z rozłożonym jak wachlarz ogonem, nieraz w bardzo wielkich wyżynach. O ile pustułki z pomiędzy ptaków drapieżnych są najgłośniejszemi i najniezgodliwszemi, o tyle też wszędzie, gdzie tylko się gnieżdżą lub przebywają, zaraz je wykryć można. Gdzie tylko kilka pustułek zamieszkuje, niemal cały dzień słychać ich głosy, ciągłe tam swary, a gdy w dodatku ptak wcale nie płochy i często na strzał się naraża, więc może być bardzo łatwo doszczętnie wytępiony. Chroni go wszakże ustawa, jako niszczyciela myszy, szarańczy i t. p.

(Dok. nast,)

PAN KAPITAN.

Minęły już dwa krzyżyki a wnet i trzeci będzie, kiedy jak grzyb po deszczu znalazłem się w Koropcu, na kilkunastomiesięczny pobyt. Śliczna to miejscowość naddniestrzańska. Wieś położona w kotlinie przestrzennej; z którejkolwiek strony do niej wjeżdżasz, zawsze droga idzie z góry lekko stromej. Wjechawszy do wsi nie czujesz, że jesteś w dole, tem bardziej, że znajdujesz się nad łożyskiem Dniestru, który tu poważną płynie wstęgą, zabezpieczony z obu stron wysokiemi kamiennemi brzegami.

Tuż we wsi, nad prawym brzegiem Dniestru, widzisz kilkunastomorgową gromadę sędziwych drzew liściastych i szpilkowych różnego rodzaju, a stopy ich od dokuczliwych promieni słońca chroni gęsto rozsiadła rzesza rozlicznych, mniejszych i większych, falisto piętrzących się krzewów. Po całej tej przestrzeni biegną w różnych kierunkach kręte ścieżki, wysypane żwirem z Dniestru, a bieg każdej kończy się przed wspaniałym starym dworem, na którym od wielu, wielu lat widnieje herb rodu Mysłowskich.

W czasie, do którego się wspomnienie moje odnosi, mieszkał tu syn ś. p. Teofila, Antoni Mysłowski. A któżby onego czasu nie znał był Mysłowskich? Choć nawet nie byłeś w Koropcu i nie znałeś osobiście, toś słyszał często nazwisko Mysłowskich, bo starsi młodszym głosili o tym starym szlacheckim rodzie, a w szczególności o ś. p. panu Antonim Mysłowskim. Był to już człowiek podonczas wiekowy, zamiłowany hodowca koni i zapalony myśliwy, a jako taki, miłujący las nadewszystko. Urządzał często polowania, lecz dla podeszłego wieku nie zawsze już brał w nich udział. Młodym jeszcze będąc, mawiał bywało p. Antoni:

— Jeżeli się postarzeję, a nogi odmówią mi posłuszeństwa, to będę na stanowisko jeździł końmi, wioząc z sobą krzesło; ale cobym począł gdyby mi wzrok nie dopisał? Nie chcą i myśleć o tem!

Któż jednak przewidzieć może niedomagania swej starości? Panu Antoniemu nie zrobiły zawodu ani wzrok ani nogi, ale trapiła go inna dolegliwość, nie pozwalająca narażać się na przeziębienie, bo jak się przeziębił, to na kilkanaście dni musiał się kłaść do łóżka.

To też nie było mowy, aby mógł sam iść do kniei w zimie, ale mimo to urządzał polowania. Kilka razy do roku zjeżdżała się do znanego z gościnności dworu w Koropcu liczna drużyna myśliwych. P. Antoni układał wówczas plan polowania, rozdawał stanowiska, oznaczał miejsce, gdzie miało się odbyć śniadanie, godzinę wyjazdu i powrotu do domu — ale sam zostawał niestety w pokoju. Czasem, gdy powietrze było łagodniejsze, otulony w futra wyjeżdżał w oznaczonej godzinie na miejsce, wybrane do śniadania, wypytywał o wynik polowania, dodawał prynuki, zjadł też sam talerz bigosu i wypił lampkę wina, powtórzył i uzupełnił dyspozycye, ale wnet wracał do domu. I wtedy był mu dzień jakoś znośniejszym. Ale gdy zbyt zimne powietrze i na taką przejemnostkę nie zezwoliło, stawał mu się dzień rokiem, nie mógł go przypędzić, nie mógł doczekać się powrotu myśliwych, przechadzał się niecierpliwie z kąta w kąt, nikogo nie znosił, wszystko go irytowało, rozmawiał sam

z sobą, a często dla zabicia nudów, godzinami oglądał strzelby, brał do ręki, składał się jakby prowadził zwierzynę, to mierzył do drzwi w dziurkę od klucza, a nawet strzelił i dublował... ale gębą, a gromkie „buch! buch!“ elektryzowało tylko służbę w kredensie.

Dopiero z powrotem myśliwych wracał dobry humor panu Antoniemu; wypytywał szczegółowo o wyniki z każdego miotu, mianował króla polowania i wychodził z całem towarzystwem na ganek, gdzie przy rzęsistem oświetleniu przedstawiano mu zwierzynę na rozkładzie.

Królem polowania mianował tego, który zabił dzika sporych rozmiarów; warchlak miał małe znaczenie i liczonym był za zwykłą sztukę. Który z myśliwych miał o jedną sztukę więcej, a tą sztuką był lis, tego spotykał zaszczyt, że był obwołany królem. Przy jednakowej ilości zwierzyny, mianowanym był ten, kto zabił warchlaka. Kto jednak zabił dzika sporych rozmiarów, mianowany bywał królem, choćby nawet dnia tego i zająca nie uśmiercił. Mianowanie odbywało się ceremonialnie. Dzika wnoszono do izby jadalnej, ustawiono go na sztaludze drewnianej w postawie stojącej, a mianowany król zajmował przy obiedzie pierwsze miejsce.

Trafiało się nieraz, że dzik był strzelany przez dwóch albo więcej myśliwych, więc musiał być pierwej przyznany jednemu z myśliwych, nim się dostał na sztalugę. W takim razie p. Antoni, przybrawszy do siebie z grona myśliwych dwóch arbitrów, zasiadał wraz z nimi ceremonialnie na krzesła, wypytywał kto dał pierwszy strzał, kto z lewej kto z prawej strony, i dopiero po wysłuchaniu i zbadaniu kierunku strzałów, ku czemu służyły proste, cienko wystrugane pręty, dawała komisya swe orzeczenie, przeciw któremu nie było rekursu.

P. Antoni jako dobry myśliwy, był również gorącym miłośnikiem lasów. Tak zaszanowanych lasów jak w Koropcu, nie było podówczas może w całej Galicyi. Łechcące, spławne wody Dniestru, ściągały do Koropca z całego świata spekulantów chętnych do kupna drzewa, a gdy taki spekulant się zjawił, to tak, bywało, mówił do niego p. Antoni:

— Mam dęby, mam. Czy chcesz oglądnąć? No, to dobrze, poczekaj.

I posyłał po leśniczego i takie dawał zlecenie:

— To jest kupiec na moje dęby. Zawieź go na „Werbkę“, ztamtąd na „Zrąb polański“ a potem od granicy „Nowosiółki“; jutro oglądniecie „Furmanowę“ i „Derenowę“, pojutrze pojedziesz z nim do „Zubrzca“. Ztamtąd zawieziesz go do „Żyznomierza“ i razem z Wierzbickim pokażecie mu „Czahor“, „Lipnik“ i „Delawę“, a zdaje mi się, że będzie miał dość. No, bądź zdrów kupiec! Jak oglądniesz, to się zgłosisz do mnie.

W kilka dni powracał kupiec, napatrzywszy się dębom, jakich nigdzie nie widział.

— No i cóż? Widziałeś i dobrze widziałeś? — zapytywał go p. Antoni.

— Widziałem — odpowiadał kupiec.

— I jakże ci się podobały moje dęby? Same dobre i piękne, nieprawdaż?

— Tak jak w lesie, proszę Jaśnie Pana, są dobre są i złe.

— To nie wszystkie moje dęby dobre? Tak? Zabierajże się z Bogiem, kupuj lasy i rób pieniądze na innych dębach. Ja ci czytam z ócz, że nie masz dość złota na moje dęby. Zgłosisz się później, a moje dęby niech tymczasem rosną, żeby ci się lepiej podobały. Bądź zdrów! Jedź do Buczacza.

Temi i tym podobnemi słowy przyjmował i zbywał niejednego konkurenta lasów, którzy już pod ówczas okolicę Dniestru przetrzebiali. Jeden tylko las Koropiecki świecił nagromadzonem bogactwem, bo p. Antoni miłował las i nie nęciło go złoto spekulantów. Dziewicze dęby rosły i za życia jego nie tknęła siekiera tych cienistych dąbrów, gdzie dzisiaj kraje pług podolską rolę, bo wody Dniestru i koleje wywiozły daleko resztki leśnych olbrzymów... A niema i tych odyńców, co bywały świadkami łowieckich biesiad w „sali królewskiej“...

Otóż w owym to czasie, gdy sobie dęby swobodnie rosły, a między niemi rój zwierzyny i niezliczona rzesza dzików, przybyłem do Koropca na kilkunastomiesięczny pobyt. Ulokowano mnie na piętrze równie starej jak dwór oficyny. Mieściła się tam na dole kuchnia, a na piętrze liczne szeregi większych i mniejszych pokoi gościnnych. I ludno tam bywało nieraz, a czasem panowało i przeludnienie, szczególniej po każdorazowym wyjeździe, p. Antoniego czy to do Lwowa czy do Krakowa, dokąd p. Antoni kilka razy do roku wyjeżdżał. Po każdym wyjeździe, zgłaszało się do oficyn Koropieckich mnóstwo szukających służby ekonomów, leśniczych, koniuszych i td., pomimo, że żadna posada nie była opróżniona. I Bogi wiedzą, jakim sposobem p. Antoni taką masę ludzi potrzebujących zatrudnienia w swej podróży wynajdywał, a każdego wysyłał z listem do marszałka dworu. Marszałek nie rozpieczętowując listów wiedział już o co chodzi i lokował kompetentów w oficynie. Następowało zdziwienie i rozczarowanie, gdy zjeżdżający się coraz liczniej kompetenci dowiedzieli się, że w Koropcu nie ma żadnej wolnej posady. Więc jedni, niecierpliwi, odjeżdżali mając gdzieindziej posadę napiętą, inni zaś, licząc dnie, oczekiwali przybycia p. Antoniego. Wreszcie nadchodził dzień oczekiwany. P. Antoni, zawitawszy do domu, kazał sobie podać listę całej ludności oficyn, a następnie zwoływał do siebie i jednych wysyłał z listami polecającemi na upatrzone posady, o których się gdzieś po drodze dowiedział, innych wysyłał napowrót do oficyny, mówiąc: „Czekajcie, to się coś trafi, a na razie pensyę miesięczną wypłacić wam każę i z głodu nie poginiecie.“ Tymczasem faktorzy znosili wiadomości, gdzie oficyalisty potrzeba, a p. Antoni pisał listy i wysyłał jednego za drugim. Nie potrwało długo i znowu oficyna stała pustką.

Jeden tylko róg oficyny na piętrze, a w nim trzy pokoje w sąsiedztwie mego mieszkania, był stale zamieszkały. Mieszkał tam człek w podeszłym już wieku, więcej niż średniego wzrostu, silnej, kościstej budowy, z wejrzeniem marsowym i niezłomnym hartem duszy, który mu się malował na twarzy.

Zaledwom tedy przybył, jąłem dodanego mi pajuka indagować, kto to taki. Pajuk nie umiał mi podać nazwiska sąsiada ale oświadczał, że powszechnie zowią go „panem Kapitanem“.

Jeszczem nie skończył indagacyi, gdy wtem słyszę śmiałe, silne stąpanie w korytarzu, otwierają się drzwi do mego mieszkanka, ale z taką gwałtownością, że aż drgnąłem, i w progu pojawił się pan Kapitan w całej swej okazałości. Nie zamykając drzwi za sobą, zbliża się ku mnie tym samym silnym krokiem, że aż podłoga ugina się pod jego nogami, wyprostowany jak dzida, a za nim cała czereda chartów. Powstałem na powitanie.

— Wojcicki! — rzekł przedstawiając się i podając mi rękę.

Przedstawiłem się nawzajem, i zaczęła się rozmowa.

Równocześnie i charty poczęły swoje zapoznanie, obwąjąc mnie w około i tłukąc po kolanach cieńkiemi jak bicz

lub kosmatemi jak kądziel ogonami. I cała ta psia menażerya zaprezentowała mi się w jednej chwili: żółte, popielate o krótkim włosie, białe, popielato i czarno łatkowane, o długim starannie wyczesanym włosie, a wszystkie wypielęgnowane, słowem piękne psy. Przypatrywałem się im z przyjemnością, podziwiałem w duchu, że chartom może się kto oddać z takiem zamiłowaniem, a żałowałem, że to nie gończe sobaki, i że nie ma między niemi ani jednego wyżła.

Pogawędziwszy ze mną chwilę p. Kapitan wyszedł z całym orszakiem chartów, sztywny, wyprostowany i tym samym żołnierskim krokiem. Pomimo jednak tej sztywności i marsowego wejrzenia, wywarł na mnie p. Kapitan bardzo dobre wrażenie. Ale gdym pomyślał o chartach — struchlałem. Wszakże to za dni kilka nadciągnąć miał za mną mój wyżeł „Neptun“, inteligentny piesek, a te bestye charty gotowe go zaraz na wstępie jak zająca rozciągnąć. Zadumałem się tedy nad losem mego poczciwca „Neptuna“. Wtem wchodzi mój pajuk.

— Słuchajno Michałek — mówię do niego — dużo pan Kapitan ma chartów?

— Już tylko ośm — odrzekł zapytany — cztery nie dawno podarował.

— To może on i resztę podaruje?

— Ha! ha! ha! Oto pan nagadał — odrzekł Michałek, wytrzeszczywszy na mnie zdziwione oczy, — on by prędzej wszystko z siebie darował, niżeli jednego z tych chartów. Tamte cztery coś mu się nie podobały i często mówił, że je podaruje, ale nim podarował, co to było herezyi! Dużo się panów zgłaszało po charty, ale nie dał; powiedział, że ten nie umie psów szanować, a tamten znowu na psach się nic nie rozumie, i nie wart psów. Zgłaszało, zgłaszało się dużo, ale żadnemu nie dał. Aż niedawno temu napisał do jakiegoś pana i temu psy dał. Ale co to było herezyi, nim zabrał te psy — oj, oj! Przyjechało dwóch ludzi i wóz drabiniasty napakowany słomą. Czy to źle? Przecie cztery sobaki do powozu nie wsadzi, co zresztą ludzie winni, że ich posłali. A co pan myśli? Pan Kapitan wycharatał obydwóch, jak Boga kocham, wycharatał. A my naprzód już sobie gadali, że chyba cud się stanie jeśli oni tak na sucho z psami odjadą. Panu Kapitanowi zdawało się za mało słomy na wozie, a wóz za mały — mantyczył i mantyczył pół dnia, aż nareszcie z wielką komedyą powsadzali psy na wóz. A wtedy jak zaczął przepowiadać, jak te psy mają wieść — to godzinę trwało. My powychodzili, przypatrujemy się temu z daleka; już mieli jechać, aż tu czy któryś chłop nie wysłuchał, czy coś zagadał — jak go Kapitan nie trzaśnie w pysk — a ten fajt na ziemię jakby go na wozie nie było. „Na masz“, mówimy jeden do drugiego, „taki się nie obeszło“. I znowu zaczął z godzinę gadać i napominać, że żaden ksiądz tak nie napomina. Nareszcie z ciężką biedą jakoś chłopiska odjechali z psami.

— To powybijał, powybijał obydwóch? — rzekłem słuchając Michałka.

— A jakże! A niech Bóg broni, jaka to ciężka ręka! Jak urznie, to tak, jak żelazem, szczęściem, że nigdy więcej nie uderzy tylko raz. Mówią, że to litwaki wszyscy mają taką ciężką rękę, a pan Kapitan to także jest het od Litwy.

— To musi być zły człowiek? — zagadnąłem Michałka.

— Gdzie tam panie, niema pod słońcem lepszego, każdy panu to powie. Krzywdy nikomu nie zrobi, co ma, wszystko rozda, tylko nie psy, i zawsze o te psy ciągły kłopot. Niech jeno który zaskomli, oho! już goni po schodach, a niech Bóg broni, żeby kogo nadybał; nie pyta kto i co, pierwszego co się nawinie — urznie — raz i nietrza mu już więcej, chyba księdza, bo każdy jak płatwa leży na ziemi. Nie byłoby na świecie lepszej służby jak u niego, żeby nie te psy. Ten chłopiec, co teraz jest u niego, to jakoś się obył i jest już dłuższy czas, ale musi tańczyć koło psów jako koło rodzonych dzieci. Prawda ma co jeść, palić, w czem chodzić, nie trza by mu i nieba, ale te psy dadzą mu się nieraz we znaki.

Przerwałem Michałkowi, który Bóg wie jak długo byłby jeszcze prawił i pytam:

— A czy te psy złe?

— Broń Boże, na nikogo nie haukają.

— No, a jak cudzego psa zobaczą?

— O! ho! ho! niech Bóg broni! Tu żaden pies się nie pokaże, a niech który zajrzy, to już stąd żywcem nie wyjdzie, bo niema sposobu ani czasu obronić. W jednej minucie wyciągną go jak strunę i ani dychnął, i nie trza wszystkich do tego Kilka dni temu, ten z czarnemi łatkami, kudłaty, sam jeden jak dopadł jakiegoś psa na dziedzińcu, tylko nim trzepnął raz, taj pies jakby nigdy nie żył. To strach, jaka to siła w tych psach, taka jak u ich pana.

Nieszczęście mnie tu sprowadziło, pomyślałem sobie wysłuchawszy Michałka. Cóż pocznę z moim Neptunem? Niema innej rady, tylko trzeba się wynieść z tej psiej rezydencyi gdzieś na wieś, choćby do chłopskiej chałupy, bo Neptuna zagryzą. Sumując tak, patrzę w okno i widzę p. pełnomocnika, jak posuwistym krokiem zdąża z dworu do domu. Biegnę tedy za nim i przedstawiam prośbę, aby mnie gdzie indziej ulokował. Lecz sprawa niłatwa, bo prócz oficyn nie ma nic więcej do dyspozycyi. Nareszcie proponuje mi chatę koło plebanii, gdzie teraz jakiś nieboszczyk leży, ale za kilka dni ją wyporządzą. Nie bardzo zachęcające mieszkanie! Dziękuję tedy i wracam bez rezultatu do oficyny.

A to nieszczęście! Tu z psami kapitana, tam z nieboszczykiem trudno się pogodzić. Dręczony niepokojem przechadzałem się po izbie, nareszcie postanowiłem dziś jeszcze rewizytować p. Kapitana i przy tej sposobności zasiągnąć jego rady, co dla ocalenia „Neptuna“ czynić mi wypadnie.

Wszedłem do jego mieszkania. W pierwszym pokoju stał na środku prosty, biały stół, a w okół po pod ściany, sienniki wygodne, na których kilka chartów leżało. W drugim pokoju ujrzałem sztalugi a na nich siodła i uprzęże na konie, między niemi zaś rząd i kulbaka prawdziwa turecka, którą, jak się później dowiedziałem, p. Kapitan z wędrówki swej po Turcyi przywiózł. Na ścianach wisiało kilka par smyczy, i kilka różnej długości harapów. Wszedłem do trzeciego pokoju, wyposażonego kilkoma eleganckiemi meblami. Tu mieszkał sam p. Kapitan. Jednę z ścian zdobił duży dywan w palmy tureckie a na nim dwa pałasze stare, dwie różne pojedynki niezwykłej długości i dwururka ogromnego kalibru. Obok łóżka stała na stoliku otwarta szkatuła a w niej dwa pistolety. W całem urządzeniu przebijała się schludność i systematyczność, odpowiadająca sztywności kapitana. Nawet w rezydencyi chartów porządek był podziwienia godny, podłoga czyściutka, a prochu nawet w szparze byś nie dostrzegł. Charty wymyte, wyczesane, wylęgiwały się na czyściutkich, co dzień trzepanych siennikach.

Pana Kapitana zastałem w fezie tureckim na głowie, w fotelu o wysokim poręczu, obitym tkaniną z ogonów końskich, którą i reszta mebli była powleczona. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, zająłem miejsce i wszczęła się pogadanka. Nie czekając długo, wyłuszczyłem mu przykrą kolizyę, w jakiej w obec jego chartów z wyżłem moim się znajduję, oraz obawę, że psy jego mojemu żyć nie dadzą.

— Nie troszcz się pan — rzekł Kapitan — i miej lepsze o moich chartach wyobrażenie. Wprawdzie nie pozwolą one kundysom włóczyć się samopas po cudzym dziedzińcu, ale wyżeł to co innego. Chart, który kundysa morduje, gdzie go zobaczy, wyżłowi nic złego nie zrobi, choćby go po raz pierwszy zobaczył, bo i chart i wyżeł należą do psiej inteligencyi i o tem bardzo dobrze wiedzą. A czy pański wyżeł bratał się kiedy z kundysem? Nie zwróciłeś może uwagi na to, a ręczę ci, że nigdy. Może być, że nie tłukł kundysa, bo nie ma tej siły co chart, ale gdybyś pan był zwrócił kiedy uwagę, był byś się przekonał, że choćby wzrokiem to zgromił kundysa, tak, że ten z podkulonym ogonem i ze spuszczonym łbem odchodzi, nie tknąwszy wyżła. Bądź pan pewnym, że wyżłowi twemu nic złego się nie stanie; psy go moje przyjmą do swego towarzystwa a nawet znajdzie pomieszczenie i wolny sienniczek dla siebie.

Pan Kapitan poznał we mnie myśliwego i amatora psów, to też rozmowa na ten temat się toczyła.

— Wyznaję — prawił pan Kapitan — że nie jestem wielkim zwolennikiem polowań z rusznicą; nawet w młodości nie biegałem wiele z fuzyjką do lasu. Później, w wędrówce tułaczej po dalekim świecie, polowałem na lwy, tygrysy i inne bestye, strzelałem przeróżne ptactwo, nigdy jednak rusznica nie zaspokoiła wrodzonej żądzy łowieckiej. Aby doznać prawdziwej roskoszy, trzeba mi było koniecznie konia i chartów. I nie dziw; pradziad, dziad i rodzic mój byli charciarzami z rodu. Młokosem jeszcze dosiadałem najdzikszego konia, a gdym się ujrzał na nieprzejrzanym stepie, prując nieprzebyte morze bodiaków — dopiero serce w piersiach skakało, a dusza się czuła wolną jak ptak. Czemże w obec tego są teraźniejsze wasze polowania niemieckie! Pludry wami zawładnęli, we wszystkiem ich naśladujecie, przyjęliście ich zwyczaje, tak prędko! i tak łatwo! Co to będzie!? co to będzie!? Czy to wasi ojcowie choćby z rusznicą polowali tak jak wy obecnie? Stoisz godzinami na stanowisku, dygocesz na zdegenerowanych cienkich nóżkach, i nie polowanie ale rzeź urządzasz raz i drugi — i to ma być przyjemność! Część zwierzyny wyrznięta, część z pokaleczenia zdecha po lesie. Tfu! Z gończakami, z chartami, mógłbyś się tą zwierzyną bawić rok cały, używając prawdziwej rozkoszy polowania. A gdzież te psy gończe? te charty? Powywieszali! wytracili do łapki, a z owych psiarń, co to ongi przy każdym dworze były, porobili kurniki i kury na pieczyste zamiast pszenicą karmią ścierwem, bo to wynalazek niemiecki... Ot, gdzieniegdzie zobaczysz jeszcze wyżła, ale także pokurcza niemieckiego. A gdzież sławna rasa wyżłów polskich? Niemcy powiedzieli, że są do niczego, i dziś niema z nich śladu. Natomtast macie od nich psy, co to w zimnej wodzie łapy nie umoczy, a szuwar jak nóż skórę na nim kraje...

— Poczekaj przyjacielu, — dodał w końcu p. Kapitan, hamując gorące zapędy — będę próbował zrobić z ciebie charciarza. Niebawem, w wigilię św. Michała wybieram się pierwszy raz w tym roku na polowanie z chartami, jeżeli chcesz, zabiorę cię z sobą.

— Bardzo będę p. Kapitanowi zobowiązanym — rzekłem dziękując.

— A umiesz na koniu się trzymać?

— Ot, co nieco! Zresztą proszę być spokojnym, choćbym i upadł, karku nie skręcę.

— Ba, a choćby i spaść — rzekł kapitan — to ze złamanym gnatem żyć można i z nagonką polować.

— Tak źle nie będzie...

Bylibyśmy Bóg wie jak długo rozprawiali z p. Kapitanem, ale służący z oznajmieniem pory obiadowej przerwał naszą rozmowę. Pożegnałem więc sympatycznego p. Kapitana wynosząc najlepsze wrażenie z pierwszego poznania.

Odtąd codziennie schodziłem się z p. Kapitanem, a cztery dni do projektowanego polowania wydały mi się rokiem. Myśli moje tylko polowaniem z chartami były zajęte, i wszelka robota nie szła mi gładko.

Wieczorem w wigilię polowania wszedł do pomieszkania mego p. Kapitan. Spojrzawszy na niego poznałem, że bardzo zirytowany.

— A to ci szelmy! gałgany! jakich świat nie widział, — huknął zaraz z progu podniesionym głosem. — Kazałem Frankowi konia „Pufa“ przejechać, i ta bestya zaledwie wjechał na ujeżdżalnię, pozwolił koniowi skoczyć na barjerę i wyobraź sobie, rozbił mu nogę! Będzie musiał Puf kilka dni stać w stajni nie do użytku. A miałeś na tym koniu jechać jutro ze mną z chartami i bestya rozbił go. Lecz wybrałem ci inną szkapę; jutro o wpół do dziewiątej wyruszymy.

Nazajutrz punktualnie o wpół do dziewiątej podano konie, wsiadł Kapitan, wsiadłem i ja na moją szkapę. Kapitan zmierzył mnie oczyma, i wyczytałem w jego spojrzeniu, że uznał, iż nieźle na koniu się trzymam. Z czterma chartami nie na smyczy, tylko wolno razem z końmi idącemi, wyjechaliśmy w pole. Zjechaliśmy kawał ścierniska — niema zająca.

— Trudno w ścierni na kota najechać a jeszcze trudniej upatrzyć — zauważył p. Kapitan. — Dalej jest kawał oraniny, pojedziemy tam, w tych kotlinach znajdzie się coś niezawodnie.

Skierowaliśmy tedy konie, zdążając ku wskazanej roli. Zaledwie wjechaliśmy w oraninę — szust — z pod samych koni pomknął zając.

— Hajcz! go ha! — krzyknął Kapitan.

Psy parły, pan Kapitan równo z niemi, a moja kobyła za niemi. Poczciwe kobylisko stęka, ledwie kości w ruch wprowadza — ale sadzi, wreszcie jak nie wyrznie sobą przez łeb, aż zadudniło, a ja odleciałem jak piłka między zagony. Zaciemniało mi się w oczach, zaszumiało w uszach, zabrakło mi oddechu, i ruszyć się nie mogłem. Jak długo byłem w tym stanie otrętwienia, nie wiem; wreszcie zacząłem ciężko oddechać, czarne chmury w oczach poczęły żółknąć i stawały się co raz przeźroczystsze, w uszach ustał szum straszny, ale zato dzwony walą, aż mi głowa pęka; wreszcie i dzwonienie zaczęło ustawać i przyszedłem do przytomności. Czuję wszakże jakiś straszny ciężar na głowie; zaczynam już myśleć i wiem co się zemną stało, ale cóż mi tak ciężkiego głowę przywaliło? Próbuję wstawać, podnoszę nogi, ale głowy ani rusz, dźwigam się i znowu na ziemię opadam. Wtem słyszę jakiś ogromny tentent, formalne trzęsienie ziemi i krzyk nademną. Poznałem głos Kapitana — chcę odpowiedzieć — ale język odmawia posłuszeństwa. Poczciwy kapitan zlazł z konia i przewrócił mnie twarzą do góry. Ziemia się ze mną kręci i widzę jakąś postać strasznie wysoką, i ogromnych rozmiarów zwierzę jak cztery góry.

— Co ci jest, czy żyjesz? — powtarzał ciągle poczciwy Kapitan.

Głos poznałem, ale odpowiedzieć nic nie mogłem; dopiero po długiej chwili wybełkotałem jakieś niezrozumiałe słowa. Kapitan podniósł mię. Siadłem kiwając się to w tę, to w drugą stronę, ale zato ziemia coraz mniej się kręciła, postacie zaczęły maleć i poznałem już wyraźnie Kapitana i konia.

— Co ci jest? — powtarzał Kapitan po setny raz.

— Spadłem z kobyły — rzekę.

— Spróbój wstać — rzekł Kapitan, podając mi rękę.

Spróbowałem raz i drugi — jakoś nieszło.

— Zasiedziałeś się, próbuj dalej!

Znowu spróbowałem raz i drugi i zaledwie za dziesiątym razem dźwignąłem się z ziemi.

— A noga cię nie boli? — pytał Kapitan.

— Nie boli — odpowiedziałem.

— Możesz iść?

— Mogę.

— A ręce nie bolą?

— Nie.

— Machnij ręką!

Machnąłem jedną i drugą ręką i duch począł we mnie wstępować.

— A zając uciekł panie Kapitanie? — zapytałem.

— Ho, mosanie, nie przed mojemi psami. Wzięły go, i tam z nim za pagórkiem zostały. Ja wróciłem do ciebie, myślałem, żeś nieboszczyk. Ciężkoś upadł, to prawda, ale niezłe masz kości. Wsiądziesz na konia, hę?

— Albo ja wiem, coś mi się głowa kręci, ale wsiadłbym, cóż, kiedy kobyły niema.

— O widzisz ją, jaka zawstydzona — rzekł Kapitan, pokazując za nami stojącą kobyłę.

Podążyliśmy wprost do kobyły.

— No, siadajmy, pojedziemy do psów, one są tam za pagórkiem — zawołał Kapitan.

— Na kobyłę wsiądę, ale za chartami na niej gonić nie będę.

— Sam bym ci nie pozwolił — rzekł Kapitan. — Dojedziemy tylko do psów, zabierzemy zająca i wrócimy do domu stępo. Na dziś będzie dosyć. Lecz niech tylko „Puf" wyzdrowieje, a znowu pojedziemy. Dobra to była szkapa i ta, na której siedzisz, ale cóż dziś już nogi biedaczka straciła, radaby, ale nie może.

— Zająca musiały psy zjeść — rzekłem po chwili.

— Ho! ho! moje psy bratku zająca nie jedzą, czasem go wypatroszą, ale nie z umysłu; przekonasz się zaraz, już niedaleko.

Dojeżdżamy do chartów. Leżały wszystkie koło zająca, który ku wielkiemu memu zdziwieniu nawet wypatroszony nie był. Kapitan zsiadł z konia, przytroczył zająca do siodła i gawędząc wracamy stępo do domu. Zaledwie jednak ujechaliśmy kawałek drogi, z przed samych koni, zerwał się kopyra. Charty pomknęły, Kapitan krzyknął do mnie: „trzymaj się!" i pogonił za chartami, a moja kobyła za niemi. Trzymam co mogę, ale kobyła ani czuje tego, stęka a goni. Nieszczęście, pomyślałem sobie, już teraz się nie pozbieram. I czekam, kiedy wyrżnie ze mną, a w duchu wybieram jedno z dwojga: czy lepiej kość złamać, czy kark skręcić — jak gdyby ten wybór odemnie zależał. Tymczasem ziemia dudni, kobyła stęka a goni, mnie w oczach ciemnieje, nie widzę już nic przed sobą. Raptem kobyła osadziła w miejscu, a ja w tej chwili z siodła siedziałem kobyle na szyi.

— Trzymaj się! — krzyknął Kapitan.

Psy doszły w tem miejscu zająca, Kapitan stał już przy nich, a moja kobyła, wiedząc o co chodzi, stanęła obok nich także, naco ja, nie widząc i nie słysząc, nie byłem przygotowany i dlatego znalazłem się kobyle na szyi. Zabrawszy drugiego zająca wróciliśmy stępo do domu, i dopiero w bramie wjazdowej odetchnąłem, nabrawszy pewności, że więcej dnia tego czart zająca nie podsunie.

Na drugi dzień uczułem dokuczliwy ból w całem ciele, zdawało mi się, że żadna kość nie jest w należytem miejscu. Kapitan obmacał mię na około i upewniał, że nic mi będzie. I rzeczywiście trzeciego dnia byłem zdrów.

— A co pojedziesz z chartami? — zapytał Kapitan, widząc, że mam już lepszą minę.

— Pojadę panie Kapitanie, ale na tej kobyle za nic w świecie.

— Toś mi się podobał! Będzie z ciebie charciarz. Na kobyle sambym ci już jechać nie pozwolił. Padała ona już i przeszłego roku; byłem pewnym, że przez rok wypoczynku zrestaurowała nogi, ale to ponoś stare kości nie do restauracyi. No, jutro wyjedziemy po południu.

Przyjąłem propozycyę, ale przyznam się, że nie z wielką ochotą.

Nazajutrz, około godziny pierwszej, Kapitan z harapem w ręku stanął w progu mego mieszkania.

— Jedziemy! konie osiodłane! — zawołał.

Czułem jeszcze z pierwszego polowania roztrzęsione kości, ale nie można się już było cofać, nie narażając sie na szyderstwa kapitana.

Tą razą osiodłano mi konia krępego, dobrze zbudowanego mierzynka. No, przynajmniej nie będę w powietrzu wywijał koziołków, nim na ziemię się dostanę — pomyślałem wsiadając na konia, i nabrałem lepszego humoru. Wyjechaliśmy.

Niebawem pomknął kopyra. Charty pogoniły za nim, za chartami Kapitan, a ja za Kapitanem. — Koń podemną nie mógł zrównać koniowi Kapitana, to też przyzostałem z „mydłem" spory kawał. Charty wzięły zająca bez obrotu, kapitan dojechał już do psów. Ściągnąłem konia po łopatce, co prawda serdecznie, konina wyciągnął się i prze co może. Już byłem o jakie sto kroków od Kapitana, wtem koń pada ze mną na ziemię. Poleżałem chwilkę, lecz nie czuję bolu, więc wstaję, ale koń leży. Zbliżyłem się do niego i widzę, że bokami nosi, ale nie wstaje.

— Cóż do stu tysięcy dyabłów! ty znowu leżysz! — woła Kapitan, zdążając ku mnie.

— Ja wstałem, ale koń leży — odpowiedziałem.

Kapitan zbliżył się do mnie. Cóż się u licha stało koniowi? Obeszliśmy go raz i drugi, leżał jak piłka z głową pod przednie nogi wsuniętą, widzimy, że żyje, bo bokami nosi, ale się nie rusza. Skropił go kapitan raz i drugi harapem — nie rusza się.

— Trzeba mu wyprostować szyję i wydostać łeb — rzekł wreszcie.

Wzięliśmy tedy konia za przednie nogi i z całą forsą obróciliśmy go na grzbiet. Koń zerwał się natychmiast, zatoczył sobą, zarżał, rzucił kilka razy głową i jak pijany zaczął oddalać się od nas, a w końcu pocwałował do domu. Zostałem więc z harapem sam, bez konia, i w śmiesznej pozycyi spieszonego charciarza wróciłem za kapitanem do domu.

Pierwsze to były polowania moje z chartami — a pod wrażeniem niemiłych przygód, nie wzbudziły we mnie zachęty, ani nie ukazały pięknych stron tego sportu. I zwątpiłem, czy zostanę kiedykolwiek charciarzem.

Cały wieczór spędziłem z kapitanem, a tematem rozmowy były charty i rusznice. On bronił chartów, ja rusznicy, i rozeszliśmy się nieprzekonani.

Od tego wieczora dużo dni minęło; Kapitan wyjeżdżał często z chartami w pole, a ja wykręcałem się jak mogłem od współudziału. Jakoś to uchodziło dopóki „Puf" nie wyzdrowiał.

Waląc po cholewie szpicrutą, uradowany, zjawił się pewnego wieczora Kapitan w progu mego mieszkania..

— No, jutro pojedziesz na „Pufie“ już całkiem zdrów! A jeżeli ci bardzo o twój kark chodzi, zapewniam cię, że ci się nic nie stanie. „Puf“ koziołków nie wywraca. Wyjedziemy rano na godzinę.

Nie mogłem się zdobyć na odwagę, aby i tym razem odmówić Kapitanowi. Musiałem tedy poświęcić godzinę polowania z wyżłem na słonki, i przyrzekłem, że pojadę.

Nazajutrz rano zjawił się Kapitan. Przed stajnią czekały już osiodłane konie. Nie bez obawy dosiadałem pierwszy raz „Pufa“, na którego niemal po drabinie dostawać się trzeba było. I jakoś tym razem się powiodło. Puf nie zawiódł oczekiwania. Jeździłem na nim jeszcze kilka razy z Kapitanem na polowania z chartami, i nigdy nie wyrżnął ze mną koziołka, choć zato ostatki tchu ze mnie wypędzał, unosząc mnie daleko, zanim się nauczyłem hamować gorący jego temperament i osadzać na miejscu.

Wreszcie, dzięki Bogu, nastała późna jesień, a z nią złe pole dla chartów. Suche przymrozki trzymały do południa, i charty ścierały wtedy pazury — po południu zaś ziemia, tylko z wierzchu roztajała, tworzyła istną ślizgawicę, dla chartów i dla koni pole niemożliwe. Kapitan klął, narzekał, ja mu akompaniowałem, ale w duchu bardzo rad byłem z tego i nim spać się położyłem wychodziłem każdego wieczora na dwór, aby się pocieszyć mrozem. Niestety, nie było we mnie ani krzty charciarza...

Tak mijały dni, aż spadł śnieg. Kapitan odzyskał humor, bo powróciło pole dla chartów. Niemal co drugi dzień wyjeżdżał po zająca, a nawet wziął dwa lisy Nie łatwo mu to poszło, bo nabawił się niedyspozycyi w skutek przeziębienia, i musiał pokaszlując przeleżeć kilka dni w łóżku.

Wieczory spędzałem zwykle z Kapitanem, aby go rozerwać. Pewnego wieczora raportują mu lisa, którego od kilku dni z rzędu w jednem i tem samem miejscu na polu widują. Wybrałem się na niego i próbowałem go zjechać sankami, ale mądry mykita nie dał się na strzał zbliżyć. Tedy Kapitan mówi do mnie:

— Weź jutro „Kaprę“ (charcicę) a dostaniesz go z pewnością. — I dał mi przytem wskazówki, jak mam postąpić.

Nazajutrz koło godziny 3ej popołudniu, z suką w sankach przyjeżdżam na „Werbkę“ i zastaję znanego mykitę, jakby zamówionego. Ho myślę sobie, nie będziesz ty mnie więcej mykicił. Zjechałem o ile możności najbliżej, ale zawsze jeszcze na sporą odległość. Lis zaczął mnie podejrzywać, siadł jak kołek i przypatruje się. Wtedy odchyliłem z lekka koc. Suka wyciągnęła szyję. Lis poznał nieprzyjemną jej fizys prędzej, nim ona go zoczyła, i począł uciekać. W tej chwili suka wyskoczyła z sanek i pogoniła za lisem, a szła tak rączo, że patrząc na tę gonitwę wydało mi się, jak gdyby lis zamiast uciekać w tył się cofał. To też niebawem doszła go charcica. Teren był tu falisty; podjechałem sankami kawał w kierunku pogoni, i w chwili, gdy charcica lisa dochodziła, znalazłem się nad głębokim rowem, którego koniem i sankami wziąść nie było można. Zlazłem tedy z sanek, przywiązałem do nich lejce krótko, ażeby koń nie uciekł, piechotą biorę debrę, wybiegam na pagórek, i widzę, jak charcica tuż tuż dochodzi lisa i w tej chwili uderza go sobą. Lis koziołkuje, charcica uniosła się spory kawał i zwraca się do lisa, który już wstał i pomyka w przeciwnym kierunku. W kilka minut dochodzi go znowu, wali sobą, lis koziołkuje, i heca ta powtarza się kilka razy w bardzo krótkich odstępach czasu. Wreszcie po licznych takich uderzeniach, lis nie wstaje, a charcica stoi nad nim.

Całej tej gonitwie nie przypatrywałem się z miejsca, tylko starałem się zrównać charcicy, by batogiem przyjść jej w pomoc. Widząc teraz, że lis nie wstaje, zwolniłem kroku, podziwiając sławną charcicę, jak bez pomocy zębów, uderzeniami tylko zabiła lisa. Doszedłem już może na 200 kroków, w tem mniemany nieboszczyk wstaje, i z początku po mału, lecz potem, coraz lepiej ucieka, a charcica stoi na miejscu i prowadzi uchodzącego lisa oczami. Lis oddalił się sporo od charcicy, myślałem, że już nie pójdzie za nim — wtem pomknęła charcica, w kilku niemal sekundach zrównała się z mykitą, jednem tempem idzie kilkadziesiąt kroków obok lisa, wreszcie rzuca sobą w bok i wali go znów o ziemię. Lecz i teraz lis wstaje i ucieka, a charcica go puszcza, dogania, tłucze nim o ziemię — i manewr ten powtarza się bez końca. Co do mnie, nie mogłem charcicy przyjść w pomoc. Uzbrojony w batóg, i zaasekurowany ciężką bundą, której nie miałem czasu zostawić na sankach, zgrzany tak, iż z każdego włosa pot mi się leje, nie mogę sprostać pogoni; wreszcie zrzucam bundę i dalej za charcicą i lisem z batogiem w ręce, a coraz to w innym kierunku. Nie obchodzą mnie już ani koń, ani sanki, ani bunda — nie widzę, co się w koło mnie dzieje, wiatr co raz to silniej dmie mi za kołnierz i pomiata śniegiem, a ja biegnę i biegnę za lisem. Nareszcie zaczęło się ściemniać na dworze. Sukę i lisa zasłonił mi pagórek; wybiegam na górę i znowu widzę sukę i lisa uchodzących za następny pagórek. Podążam za niemi, ile sił starczy, alem je wkrótce z óczu stracił, bo ściemnia się coraz bardziej, a zawierucha szaleje na dobre. Mimo wytężania wzroku straciłem trop zawiany śniegiem; stanąłem tedy i namyślam się, czy iść dalej, czy wracać. A nuż charcica pokonała lisa i leży koło niego? Nie podobna jej w takim razie w polu pozostawić, a zresztą bez charcicy niema co do Kapitana wracać. Idę więc dalej w prostym kierunku, bo tropu zupełnie nie widać i nawołuję sukę. Po chwili daremnego nawoływania stanąłem znowu wśród ciemności i zawieruchy. Nie wiem gdzie jestem. Niechby tam już sukę licho porwało, jednego charta mniej na świecie nie wielka szkoda — byłem się w jaki sposób do konia i do sanek dostał. Chodzę, błąkam się po polu; pierwej mijałem ciągle dołki i pagórki, a teraz wszędzie równina. Strach mnie przejmuje; nie zginąłem z konia, to teraz w śniegu i zawierusze los ten mnie czeka, a wszystko przez charty. Czarne myśli mnie ogarnęły. Wtem posłyszałem coś obok siebie; oglądam się, suka jest przy mnie, przyszła moim śladem, zbiedzona, zmęczona, obmarzła śniegiem, ledwie nogi za sobą wlecze. A przecież widok tego żyjącego stworzenia przejął mnie otuchą. Idę pod wiatr, zdążam ciągle o ile mi się zdawało w jednym kierunku, chodzę i chodzę — lecz ani lasu, ani konia, ani drogi — wszędzie jedna biała płaszczyzna i zawierzucha dmie w oczy. Siły mnie zaczęły opuszczać, i znowu ogarnia zwątpienie. Co chwila odwracam się od wiatru, odetchnę kilka razy swobodniej i znowu idę pod wiatr złowrogo wyjący.

Po takiem długiem, długiem błąkaniu ujrzałem wreszcie w oddaleniu jekieś ciemne zarysy — czy las czy góra, Bogi wiedzą. Rzeczywiście dotarłem do lasu, od którego byłem zaledwie na kilkadziesiąt kroków oddalony, a odległość ta wydała mi się bardzo wielką. Odetchnąłem swobodniej, odpocząłem chwilę, a nie mogąc się zoryentować, gdzie jestem, postanowiłem iść rajem lasu. Idąc tak, natrafiam na drogę, i nią zwróciłem się w las. Im dalej szedłem tem mniej czuć było zawieruchę, lżej było mi iść, lecz czułem się bardzo umęczony. Nie długo dochodzę do chaty. Bogu dzięki, już mi się teraz nic nie stanie. Przysięgam, że więcej z chartami polować nie będę i zacząłem dobywać się

do wrót. Z za chlewa ozwał się pies, rzucam się pod chałupę,ażeby zaasekurować jedną stronę przed psem, a drugiej bronić batem. Wyczekuję ataku; lecz pies, czy zwietrzył charcicę, czy w ogóle nie zwykł był opuszczać swego zacisznego kącika za chlewem, bąkał stamtąd coraz to ciszej i urywkowo i nie wystąpił na plac boju. Począłem tedy bębnić w okienko.

— Kto tam? — odezwał się basowy głos z chałupy.

— Otwórzcie człowieku, to ja jestem.

— Co za ja?

— Zbłądziłem i proszę was puśćcie mnie do chaty, a dowiecie się kto jestem.

— Zara, zara — ozwał się ten sam głos basowy z chałupy. I powstał rumor w chałupie, zabłysło światło, stoję więc i czekam zmiłowania. Lecz mimo światła i ruchu nie spieszono się jakoś otworzyć — powtórzyłem więc szturm do drzwi.

— Zara zara! Co tam za dyabeł! nie poczeka chwili! — ozwał się głos z chałupy — a zaraz potem stukot otwierania. Drzwi się uchyliły i jeszcze raz zabrzmiało:

— Kto to?

— Zbłądziłem człowieku; bądźcie tak dobry wpuścić mnie do chaty, bom zmęczony i zziębnięty.

Chłop nic nie odrzekł, tylko idąc przodem wpuścił mię do chaty.

— A panu co się stało? — zapytał, oglądnąwszy mnie przy świetle.

Poznałem w pytającym pobereźnika Mykołę, powitałem go więc jako znajomego i opowiedziałem całą mą przygodę z charcicą i lisem, a zakończyłem prośbą, żeby poszedł odszukać konia i sanki w niedalekiej debrze.

Zebrał się Mykoła i poszedł za koniem, a ja tymczasem siadłem przy ogniu, który poczciwa Mykolicha na nowo rozjarzyła i grzeję się, jak mogę. Nie wytrwało półtory godziny, powrócił Mykoła. Biedne konisko nawpół zmarznięte, okurzone śniegiem stało w miejscu, gdzie go postawiłem, a że debra ta aż do lasu się ciągnęła, to jedynie umożliwiło Mykole odszukanie sanek. Okutałem się w kożuch Mykoły i wybraliśmy się do dworu, gdzieśmy dopiero około 4tej nad ranem przybyli.

Uderzyło mnie światło u Kapitana. Pomyślałem sobie, że albo bardziej chory, albo niepokój o sukę spać mu nie pozwala. Zaledwiem wstąpił na schody, doleciał mię głos Kapitana:

— Michałek!

— Słucham.

— A wyjdź-no popatrz, kto idzie; jeżeli to pan z suką, proś go do mnie.

Słysząc to wstąpiłem do mieszkania Kapitana.

— Cóż ci się wydarzyło? Gdzieżeś był noc całą? — zawołał Kapitan.

— Dobrze, że żyję panie Kapitanie — odpowiedziałem, — i siadłszy obok łóżka Kapitana, opowiedziałem mu całą przygodę z lisem.

— A dlaczegożeś nie strzelał? — pyta Kapitan.

— Nie miałem z sobą strzelby; na cóż mi ją było brać, kiedy miałem charcicę.

— Ależ wiedziałem, że charcica lisa nie weźmie. Sądziłem, że gdy go dojdzie i zatrzyma, to ty dojedziesz sankami i strzelisz.

— A czemuż mi pan Kapitan tego nie powiedział? Ja, biorąc sukę, uważałem za zbyteczne brać i strzelbę. Na drugi raz to już wolę strzelbę bez suki.

— Nie, nie! Już ja z ciebie charciarza nie zrobię — zakonkludował pan Kapitan z indygnacyą. — A z lisem się na długo pożegnaj, nie wnet wylezie z jamy, będzie się lizał ze szturkańców, które mu suka zadała.

— Ależ panie kapitanie — rzekę — ja lisa nie złapię, jeżeli go charcica złapać nie mogła!

Na te słowa aż podskoczył w łóżku pan Kapitan.

— Co? co? charcica złapać nie mogła? Setki razy go doszła i tłukła nim, więc trzeba było jej pomódz. Zrobiłem ci to, co chciałeś, a ty mi obmawiasz sukę? Nie ma w świecie lepszej suki od tej, przy niej nie potrzeba charta, lada kundys weźmie wszystko, ale ty nie jesteś kompetentnym, aby sądzić moją sukę. Idź spać.

I zirrytowany odwrócił się pan Kapitan do ściany.

Poszedłem tedy do mojej izby, poskładałem co można było na kołdrę, położyłem się do łóżka, i po długiem dzwonieniu zębami zasnąłem.

Minął wreszcie mój kilkonastomiesięczny pobyt w towarzystwie Kapitana. Gawędziliśmy wiele, polowaliśmy razem, sprzeczaliśmy się, on ubóstwiał charty, a ja przyszedłem do przekonania, że co chart to dyabła wart — lecz mimo tej różnicy zdań pokochaliśmy się bardzo z Kapitanem. To też, gdy przyszła godzina rozstania, była dla nas obu nadzwyczaj przykrą.

* * *

Po niewielu latach cygańskiej mej wędrówki zawadziłem w przejeździe o Niżniów, a że stąd do Koropca nie daleko, postanowiłem odwidzić pana Kapitana. Rzuciłem się między żydków, którzy o wszystkiem najlepiej wiedzą i od nich się dowiedziałem, że Kapitan jest zawsze w Koropcu. Nająłem tedy żydka o jednym koniu i jadę odwidzić kapitana.

Zajechawszy przed znane mi oficyny, pogoniłem wprost na górę, biorąc po dwa schody na raz. Otworzyłem drzwi, przebiegłem jeden i drugi pokój, a w progu trzeciego mimowoli się zatrzymałem. Kapitan siedział w łóżku wyschły, schorowany, zmieniony do niepoznania. Zmięszałem się, nie mogąc słowa na powitanie wydobyć. Kapitan zwrócił głowę ku mnie, wpatrzył się i po chwili z wysileniem niemałem zapytał:

— Co pan chcesz?

— Pan Kapitan mnie nie poznał — odezwałem się przystąpiwszy bliżej, przedstawiając się Kapitanowi.

Kapitan zmarszczył brwi, i wpatrywał się we mnie dość długo. Byłem pewny, że ani nazwiska mego nie przypomina sobie, ani mnie nie poznaje. Lecz po pewnej chwili poznał mnie, i wyciągnął do mnie rękę.

— To ty! To ty! — rzekł urywanym głosem. — Poczciwyś, w godzinę śmierci nie zapomniałeś o mnie.

Boże mój! z taką uciechą dążyłem tutaj, byłem pewny, że powitam Kapitana zdrowego i rześkiego, jak go odjechałem, a tu widzę przed sobą staruszka, któremu krótkie chwile na tym świecie. Śmierć wypisała mu swój wyrok na twarzy, a i on go sam głosi. Usiadłem na krześle przy łóżku.

— Co p. Kapitana boli? — zapytałem, ściskając rękę podaną.

— Co mnie boli? Wszystko i nic! Wydzwania moja godzina i przyjmuję ją bez szemrania. Oddałem Bogu, Ojczyźnie i ludziom, com był dłużen i ze spokojem oczekuję śmierci. Dość tego życia tułaczego.

Tak byłem rozrzewniony, że zaledwie zdobyć się mogłem na kilka słów uspakajających biednego Kapitana.

— Rób mi nadzieję rychłego skonu — rzekł głosem cichym lecz spokojnym. — Dość się nażyłem, stary jestem i ste

rany. Bóg łaskaw, byłem zdrów, a niedołężnej starości bardzo się obawiałem. Za późnoś przyjechał za późno — ciągnął Kapitan urywanym głosem — psy moje wszystkie darowałem, zostało jeszcze tych dwoje, ale i te tylko dopóki nie zamknę oczu. Już darowane. Ale, ale... ta para pistoletów... zabierz je sobie na pamiątkę po mnie... Michałek! — zawołał na służącego — Te pistolety należą do tego pana, rozumiesz? Tu zwrócił się znów do mnie i dodał:

— A garderobę wszystką i pościel darowałem Michałkowi; poczciwy to murzyn, pamiętaj, ażeby mu krzywdy nie wyrządzono.

Ciężki smutek osiadł mi na sercu, duszno mi było w komnacie, gdzie nieubłagany anioł śmierci błąkał się po kątach i lada chwila zdmuchnąć miał iskrę życia tak zasłużonego, dzielnego i kochanego człowieka.

Przesiedziałem noc całą przy łożu Kapitana. Nazajutrz zmuszony byłem pożegnać go; odjechałem i nie dotrzymałem obietnicy, że go jeszcze odwidzę. Dobre chęci nie wystarczyły, los pogonił mnie na kilkanaście mil od Koropca, i nie dozwolił jeszcze raz zobaczyć Kapitana.

W kilka tygodni doszły mnie wieści o zgonie Kapitana... Pan Bóg wziął ostatniego może charciarza do swej chwały, na te stepy nieskończoności, gdzie myśl jak chart goni wiecznie niedoścignioną zagadkę życia....

Ago.

W Indyach.

Z wycieczki myśliwskiej arcyks. Franciszka Ferdynanda d' Este.

III.

Pobyt arcyksięcia w Nepalu trwał do 26. marca, a wycieczki łowieckie odznaczały się w ogóle bogactwem ubitej zwierzyny. Gdy zabrakło tygrysów i panter, urządzano nagonkę ogólną z wolnością strzelania do każdego zwierza — *general-shooting* — a wtedy padały jelenie, dziki, szakale, koty zybetowe, pawie, frankoliny i t. d., a nareszcie i zające. D. 15 marca padło aż 36 zajęcy, cyfra jak na Nepal zaiste kolosalna, następnego dnia zaś sam arcyksiążę ubił 19 jeleni (10 sztuk *Cervus axis*, 9 sztuk *C. porcinus*) muntjaka, dzika, orła, jastrzębia i kilka sztuk drobniejszego ptactwa. D. 18 marca padł z ręki arcyksięcia pierwszy jego jeleń błotny.

Deszcze nie dozwalały robić dalszych wycieczek. Dopiero d. 19. marca dostał się znowu pod lufę arcyksięcia tygrys. Przez zapomnienie, pod wpływem gorączki myśliwskiej, strzelił do niego nasz myśliwy śrótem i zniewolił tylko do powrócenia w dżungle. Lecz na szczęście słonie były jak należy kołem obstawione, rabuś nie wydobył się więc poza linię strzelców i padł wkrótce od strzałów jednego z towarzyszy arcyksięcia. Był to największy z ubitych w Nepalu samców, mierzył bowiem 9 stóp i 4 cale. Przy patroszeniu znaleziono w żołądku tego rabusia jeszcze połowę krowy, którą był niedawno przedtem zagryzł, z głową, skórą i uszami.

Na drugi dzień posłużyło szczęście i arcyksięciu. Położył tygrysa w chwili, gdy tenże szykował się do skoku na słonia, na którym znajdowała się „howda“ arcyksięcia. Dobrym, choć nieco za wysokim strzałem w komorę trafiony, nie został tygrys na miejscu; rzucał się na wszystko i bronił się do upadłego w wysokich trawach, aż wreszcie jeden z odważniejszych słoni dobił go kłami i nogami mimo, że sam został przez tygrysa mocno w nogę zraniony. Był to również samiec, wcale duży, bo mierzył 9 stóp.

Dzień 21. marca stał się niespodziewanie dniem pełnym wzruszeń, otoczono bowiem dżungle, w których się znajdowała cała rodzina tygrysia. Samcowi udało się przebić przez linię słoni, lecz w miocie padła duża tygrysica i dwa młode, roczne tygrysiaki. Lecz już d. 23. marca padł znowu samiec, prawdopodobnie ten sam, który się był wymknął, stary wyga, któremu zapewne już nieraz lufami w oczy świecono, gdyż miał pod skórą na szyi głęboko zarośniętą okrągłą kulę dużego kalibru.

W dalszym ciągu tego samego polowania wykurzono z jamy dwie młode hyeny, których matce udało się z miotu wymknąć. Obie młode sztuki były mniej więcej wielkości lisa.

Dnia 24. marca padła dla odmiany duża pantera, której się nikt nie spodziewał, bo nagonkę prowadzono na tygrysa.

„Czekaliśmy już dłuższy czas w cieniu salów — opowiada arcyksiąże — gdy wtem naczelnik mahutów dał znak do pochodu. O sto kroków dalej napotkaliśmy pewną część słoni i szikarich całkiem bezradnych, którzy nam opowiadają, że są resztki wystawionego na przynętę cielaka, lecz tygrysa nigdzie nie widać. Gdy tak rozmawiamy, odezwały się w pobliżu głosy: „Bagh-Bagh“ — tygrys. I w jednej chwili życiem zawrzał las. Ze wszystkich stron wynurzały się słonie z mahutami. Rzuciliśmy się szybko w stronę, w której okrzyk rozbrzmiewał, i wszystko usiłowało jak najprędzej w koło się uformować.

„Słoń mój postępował sążnistemi krokami przez gęstwinę leśną. Musiałem się chronić od gałęzi, które co chwila w howdę uderzały — gdy wtem odezwał się przeraźliwy krzyk po lewej stronie, a gdym spojrzał, ujrzałem w dość znacznej odległości jelenia axisa i goniącą za nim panterę. W pierwszej chwili wziąłem tę panterę za tygrysa, a choć odległość była znaczna, strzeliłem. Pantera nie naznaczyła po strzale, byłem tedy pewny, żem spudłował; biegła w szalonym pędzie dalej, lecz zamykające się koło słoni i krzyk szikarich nawrócił ją napowrót w gęstwinę. I nie długo zaiste kazała na siebie czekać. Przyczajona kocim obyczajem poza krzakami, wypadła za chwilę wprost na mnie. Zmierzyłem, pociskam kurki — i oba kłapią. We wzburzeniu ogólnem zapomniał mój strzelec włożyć nowe ładunki do sztućca. Lecz nie miałem nawet czasu martwić się tym wypadkiem, gdyż pantera cofnęła się i znowu niebawem na strzał wyszła. Tym razem przywitałem ją śmiertelnym pociskiem; padła w miejscu, a gdy jeszcze chciała się zrywać, została drugim strzałem dobita.

„Śmierć tego drapieżnika sprawiła wiele radości mieszkańcom, twierdzili oni bowiem, że to „dobry znajomy“,

który już niesłychanie wiele szkód w trzodach ich zrządził. Był to samiec, bardzo ładnie złoto-żółtemi plamami znaczony, a mierzył 6 stóp i 7 cali. Z licznych po całem ciele rozsianych blizn od ukąszeń i podrapań łatwo się dało wywnioskować, że był to bardzo odważny i skory do bitki zuchwalec. Brak mu było także jednego kła, widocznie strzałem śrótowym wybitego. Pod skórą tkwiło wiele kończyn rogowych kolców, któremi przed napadem jeżatka się broni".

Początek z tą panterą był tak szczęśliwy, że zaraz nazajutrz wypłoszono z wysokiego sitowia drugą panterę, którą arcyksiążę na miejscu zrulował. Egzemplarz ten był jeszcze większy, mierzył bowiem bowiem 6 stóp i 8 cali.

Tegoż samego dnia pod wieczór przekroczyła cała karawana graniczną rzeką Nepalu, Mochnę, ku wielkiemu smutkowi arcyksięcia, który z żalem bogate dżungle nepalskie opuszczał.

Jak świetnym był wynik łowów na Ceylonie, w Indyach i Nepalu świadczy następująca lista. Ubito w ogóle: 5 słoni 1 bawołu, 132 jeleni różnego gatunku, 14 nilgajów, 43 czarnych kozłów (blackbucks), 14 gazeli, 39 dzików, 20 tygrysów, 7 panter, 2 koty zybetowe, 2 hyeny, 17 szakali, 3 lisy, 16 kun zybetowych, 1 wydrę, 14 mangustów, 9 jeżatek, 6 małp, 164 zajęcy, 9 wiewiórek i innych gryzoni, 4 duże nietoperze, 180 sępów, orłów, sokołów, kań i jastrzębi, 26 sów, 128 kruków, wron, kawek, srok, sojek i orzechówek, 25 różnych srokaczy, 30 papug, 7 dzióborożców, 15 rozmaitych rybołówek, 260 rozmaitych gołębi, 97 pawi, 728 frankolinów, kuropatw, przepiórek i innych kuraków, 6 dropi, 2 żórawie, 11 marabutów, 8 różnych bocianów, 10 czajek, 7 siewek, 21 batalionów, 40 kormoranów, 2 ibisy, 3 czerwonaki, 30 rozmaitych czapel, 1 pelikana, 9 różnych gęsi, 202 rozmaitych kaczek, 4 nurki, 28 mew, 388 innego ptactwa błotnego, wodnego i leśnego, 2 ryby latające i 1 węża.

Cała ta, tak świetna i różnorodna zdobycz myśliwska w ciągu 78 dni, wynosi więc razem 2793 sztuk i jest zaiste najpyszniejszym gabinetem indyjskiej fauny. *S.*

Króliki w Australii.

W rozmaitych pismach pojawiały się już wzmianki o nadzwyczajnym rozroście dzikich królików w Australii i olbrzymich zniszczeniach, jakie gryzoń ten wyrządza tamtejszemu rolnictwu i hodowli owiec. Wszystko jednak, co o tem donoszono, nie daje należytego wyobrażenia o przerażającej klęsce króliczej, której Australia ulega. Rzeczywistość prześciga najśmielsze przypuszczenia tak co do cyfry rozmnoży, jak i co do rozmiarów klęski.

Po raz pierwszy przywieziono z Europy do Australii króliki w r. 1786, w czasie, kiedy kraj ten obrano na miejsce deportacyjne dla angielskich zbrodniarzy. W transporcie bydła, które dla pierwszych tych kolonistów nowej części świata w porcie Jackson (dzisiejszem Sydney) na ląd wysadzono, było także pięć królików. Nie utrzymały się one wówczas i znikły bez śladu.

Po raz drugi przywiózł króliki dopiero w r. 1862 Austin z Francyi i wtedy się zaaklimatyzowały. Podobnie jak we Francyi uważano je jako zwierzynę, dostarczającą zabawy i pożytku sportowi łowieckiemu. W r. 1871 mieszczono też króliki na liście zwierząt łownych, dla których przepisany był prawny czas ochrony. Lecz już w r. 1874 rozmnożyły się króliki do tego stopnia, że zezwolono strzelać je w każdej porze, a w r 1878, tj. zaledwie w szesnaście lat po przywiezieniu królików z Europy, był już rząd zmuszonym zaliczyć królika do zwierząt szkodliwych i za tępienie go wyznaczyć nagrody.

Od tego czasu, mimo płacenia nagród rozmaitej wysokości za skalpy królicze, tj. za skórę z głowy ze słuchami, następuje bajeczne rozmnożenie się tego gryzonia. Nie ma go na zamieszkałych wybrzeżach Australii, lecz na całym obszarze od granic Wiktoryi aż do Queenslandu, gdzie kwitnął znakomity chów owiec, zniszczona jest w znacznej części roślinność i grunt cały podminowany norami króliczemi.

Australskie króliki są nieco mniejsze niż francuskie „lapins". Waga jednego w przecięciu wynosi 1·3 kilogr., a życie trwa 7 do 8 lat. Maść ich brunatna lub szara zastosowuje się wybornie do barwy gruntu i zeschłych krzewów. Nory grzebią najchętniej w spadzistych brzegach rzek, potoków, moczarów, ale umią także wyzyskać grunt piaskowy, moczarowaty i zarośla. Gdy mają do rozporządzenia dziupła drzew, szczeliny skał i gęstwiny krzaków, to nawet nie fatygują się kopaniem nor. W miejscach zamieszkałych wychodzą za żerem dopiero pod noc i w nocy, tak, że choć ich jest bardzo wiele, można dużo kraju zjeździć i w dzień ani jednego królika nie ujrzeć. Przed psami uciekają jak szalone i nie znają przeszkód, byle tylko uciec, przepływają wówczas rzeki i wspinają się na drzewa, wbrew swej naturze. W miejscach niezamieszkałych nie są wcale płoche i dlatego można je i w ciągu dnia natrafiać siedzące przed norami. Zbliżanie się człowieka lub wozu nie płoszy ich wcale.

W ogóle przenoszą króliki dystrykty obfitujące w wodę, ale przebywają niemniej i w najsuchszych okolicach, mnożąc się tam również obficie, chociaż bywają chudsze i włos tracą. Zaiszczenie roślinności tam, gdzie się bardziej rozmnożą, jest okropne, królik bowiem spasa najprzód trawę i suche liście, potem korę z drzewa lub krzewu, a nareszcie dobiera się do korzenia, podkopuje go i niszczy całą roślinę tak doszczętnie, że już nie ma mowy aby odżyła. Dwa lata wystarczy, aby najbujniejsze pastwisko stało się pod wpływem królików pustynią nagą bez śladu wegetacyi.

Mimo skąpej żywności i niesprzyjającej pory, można między królikami zawsze młode nadybyć. Samica nosi tylko cztery tygodnie, i tyleż tygodni mniej więcej przebywa przy młodych, rzuca więc kilka razy do roku po 6 do 9 młodych, czem się przerażająca jej płodność tłumaczy. Przed samem rzuceniem oddziela się kotna samica od kolonii i dopiero w odległości 4 do 5 kilometrów, wyszukawszy sobie lekką gliniastą lub piaskową glebę, grzebie na 20 do 50 centym. pod powierzchnię ziemi norę, która jest na metr lub 2 metry długą i kotlinką się kończy. Dziupło drzewne lub szczelina skalna służą jej także za legowisko, które wydartą z podbrzusza siercią lub drobną, miękką trawą wyściela.

Wejście do nory jest zawsze bardzo sztucznie ukryte. Po trzech tygodniach mają młode tyle już samodzielności, że tworzą osobną kolonię, a po czterech tygodniach stają się samice tej kolonii znowu matkami i t. d.

Już w r. 1883 uchwaliły Izby australskie formalny plan kampanii przeciw królikom, ustanawiając specyalną dyrekcyę do prowadzenia wojny i dzieląc kraj na dystrykty wojenne. W ciągu trzech lat wydano 9 milionów marek, ażeby obronić chów owiec w 265 osadach skwaterskich, lecz nie odniesiono zupełnego zwycięstwa. Płacenie premij nie osiągło także należytego skutku. W jednym z dystryktów, gdzie się króliki dpiero co pokazały, płacono po $2^1/_2$ marek za skalp, w r. 1886 spadła cena na markę, w r. 1887 na pół marki i niżej, lecz kolosalne sumy, wydane na premie, także wiele nie pomogły. Winą tu była poniekąd przebiegłość trapperów, którzy bili wprawdzie dużo królików, lecz przepuszczali kotnym samicom i tym sposobem utrzymywali sami zarodek dalszych polowań i dalszych dochodów z premij. W ten sposób zapłacono w jednym dystrykcie 225.000 marek za 800.000 królików, w innym 1·3 miliona marek, a przecież królików nie wytępiono.

Nawet w polach ornych i tuż przy torach kolejowych grzebią swe nory króliki australskie. Po wsiach i miasteczkach z trudnością przychodzi przechować paszę dla koni, bo zawsze się do niej króliki dobiorą. Miasteczko Wilcamia, liczące około 1.500 mieszkańców, zostało ubiegłego roku przez króliki formalnie napadnięte. Zniszczyły one ogrody, podkopywały się do domów, rano spotykano je przed drzwiami, dzieci rzucały na nie kamieniami, a kramarze musieli szukać pomocy u psów i ludzi, aby swe zapasy od żarłoczności królików ochronić. Formalna wojna — a burmistrz musiał osobną służbę zorganizować, która trupy królicze po ulicach zbierała i wywiózłszy za miasto, paliła.

Z Cobar doniesiono d. 18. stycznia 1892, iż w wesleyańskim kościele nie można było odprawić nabożeństwa, bo króliki, które się pod podłogę świątyni dostały i tam poginęły, zatruły powietrze okropnemi wyziewami.

W obec takiej, środkom zniszczenia urągającej rozmnoży porzuca dziś Australia proch i łapki, a ucieka się do kosztownych drucianych płotów, aby się tylko od inwazyi króliczej ochronić. Płot taki jest na metr wysoki, a na przeszło 10 centymetrów w ziemię wkopany i składa się z siatki drucianej o oczkach trzechcentymetrowej średnicy. Kilometr podobnego płotu kosztuje 600 do 800 marek, a pomiędzy nową południową Walią i południową Australią postawiono już 519 kilometrów płotu kosztem 600.000 marek. Króliki przyszedłszy do takiego płotu giną przy nim całemi wałami. Zatruwanie wód pobliskich, szczególniej w porze posusznej, dokonywa dalszego tępienia. Po 10.000 trupów króliczych znajdywano w ciągu jednej nocy przy takich zatrutych cysternach.

Między innemi środkami tępienia, używane bywają także zaprawione do tego psy, koty, skunki i łasice, których w r. 1888 około 20.000 sztuk sprowadzono i wcale dobre rezultaty osiągnięto.

Najstraszniejszą wszakże bronią, która wreszcie może wyrzec ostatnie słowo wytępienia królików, jest bakteriologia, pracująca nad zarazkami, któreby się przez króliki innym królikom udzielały.

Mięsa ubitych królików nikt w Australii jeść nie chce, skórę natomiast używają do wyrobu filców na kapelusze, rękawic futrzanych, kobierców i w ogóle na ubrania futrzane, tylko że tego wszystkiego jest trochę za dużo... *N.*

KORESPONDENCYE.

Rajtarowice dnia 24 października.

(Z nad Błożewki).

W czasie zbiorów tegorocznych słyszano ze wszech stron skargi na ciągłe deszcze i powodzie, które sprowadziły na rolnictwo niedające się obliczyć straty, i rok ten niejednemu rolnikowi zostanie na długo w smutnej pamięci. Pisano już o tem dużo, lecz o stracie, jakie myśliwstwo w zwierzynie poniosło, mało kto donosił, a i tu są bardzo znaczne szkody, i to nie prędko dające się powetować. — W skutek ciągłego zimna, słot i powodzi, ptactwo łowne, gnieżdżące się na roli, łąkach, bagnach i w lasach, zostało albo zniszczone w gniazdach przez deszcze i zimno, albo zabrane przez powodzie, tak, że polowań z legawcem nie było prawie żadnych, bo chodząc i dzień cały trudno było zobaczyć zrywającą się przepiórkę lub kuropatwę, a nawet tak wszędzie częstego chruściela.

Tak samo się ma i ze zwierzyną kniejową. Zacznę od szaraków. Tych pierwsze pomioty zostały przez słoty i wody zniszczone, z późniejszych mało co widać na polach; zając jest w ogóle rzadkością. Sarny, chociaż każda prawie młode wodzi, a nie jest rzadkością widzieć po dwoje i troje, nie obiecują dużo, bo już teraz są bardzo nędzne — i dużo wyginie na motylicę, a to ze żeru na zamulonych łąkach leśnych.

Cóż więc pozostaje? Lis, którego tępimy rok cały, i dziki.

Więc jak było na polach pusto i głucho, tak samo zapowiada się i w kniei. Dlatego, chcąc resztki od całkowitego zatracenia uratować — a mam tu na myśli, te knieje, które najwięcej ucierpiały — nietylko, że trzeba będzie przez zimę dobrze zwierzynę żywić, ale i nie często polować, ażeby wynagrodzić w części poniesione straty.

Jeszcze dodam słów kilka o ciągu słonek tej jesieni. W pierwszych dniach października zapowiadał się ciąg dobry, lecz później przez zimna słoty i wiatry, prawie nie było żadnego ciągu — dopiero koło 20 b. m. znów się poprawił.

Niestety — pusto i głucho; to zapowiedź tegoroczna dla łowca w bardzo wielu kniejach. *F. J. Wróbel.*

Lwów, d. 30. października.

(Z Towarzystwa Lisowickiego).

Bardzo często przed zapowiedzianem polowaniem w Lisowicach słyszałem stawiane pytanie: „Ileż tam macie tego roku niedźwiedzi i rysiów?“ jak gdyby te drobne zwierzątka stadami po rewirach Lisowickich chodziły i dość było jakikolwiek miotek na nie wziąć, żeby pół tuzina do domu przywieść. Polowanie Lisowickie, założone przed blisko 24 laty przez ś. p. hr. Kazimierza Wodzickiego i przez długi szereg

lat kierowane jego sprężystą i umiejętną dłonią, zdobyło sobie w kraju reputacyę czegoś nadzwyczajnego, jakiegoś rodzaju zwierzyńca, gdzie zwierzyna masami przebywa i z łatwością ubić się daje. Nie tylko strzelacze ale nawet i myśliwi nieraz myślą, że dosyć jest dostać się do Lisowic, przywieść ze sobą cały kuferek ładunków a dusza myśliwska będzie jak w raju. Ileż to razy byliśmy świadkami rozczarowania, malującego się na twarzy nowicyusza przybywającego w zastępstwie towarzysza, któremu tylko najzwyklejsza grzeczność nie pozwalała powiedzieć jako gościowi: „Jakto? to jest owe sławne polowanie Lisowickie?“

Tego rodzaju gości mieliśmy i mieć jeszcze będziemy, gdyż falanga strzelaczów wzrasta z każdym rokiem, a tylko prawdziwi myśliwi są w stanie ocenić cały urok kniei Lisowickich, ale zarazem i przekonać się, że rezultat nieraz bardzo świetny polowania, osiągnięty bywa li tylko z wielkiemi trudnościami. Lisowczycy, szczególniej ci, którzy dłuższy już czas należą do składu towarzystwa, wiedzą ile to czasem trudu, mozołu i strategii potrzeba, żeby starego odyńca, który po prostu kpi sobie ze zgrai malców używanych przez nas do nagónki, wyprzeć na myśliwego, który w dodatku, bo i to niestety chodzi po ludziach, sromotnie go spudłuje. Co stanowi urok polowania w Lisowicach, to różnorodność zwierzyny tam się znajdującej, owe niespodzianki, które wyprowadzają rysia na myśliwego zupełnie na to nieprzygotowanego, lub spotkanie całego stada dzików w krzaczkach, w których co najwyżej słonek lub biednego szaraka można było się spodziewać. Ład, porządek, wzorowa karność w wypełnianiu rozkazów łowczego, nadzwyczajnie prowadzona i wprawna nagonka, to jest naszą szą chlubą, a nadzieją każdego Towarzysza łaska bogini Diany i Śgo Huberta, żeby miał spotkanie i takowe szczęśliwie zużytkował.

Dwa ostatnie okresy myśliwskie, to jest 4 polowania, złotemi głoskami wyryliśmy w księgach naszych; 2 niedźwiedzie, 4 rysie, 2 żbiki, 2 wilki, 103 dzików, nie licząc poważnej ilości drobnej zwierzyny — oto był rezultat dwuletniego polowania. Że jednakże *tempora mutantur*, przesyłam na dowód szanownej Redakcyi następujący rezultat tegorocznego jesiennego polowania: Myśliwych 14tu. Ubito w 10. dniach polowania dzików 4, lisów 35, rogaczy (wszystkie z bardzo pięknemi rogami) 20, zajęcy 54, jarząbków 16, słonek 32, sów uralskich 8, puchaczy 2 — razem sztuk ubitych 171, strzałów 404. Dodam jeszcze, że na 10 dni polowania mieliśmy tylko 2 dni pogodne a przez 8 dni bez przestanku deszcz i niesłychany wicher.

Niejeden z czytelników przeczytawszy wynik łowów tegorocznych, może sobie powie: „tylko tyle“?! Lisowczycy jednakże rozjeżdżali się mówiąc: „Daj Boże zawsze tylko tyle“, a kto wie co matka fortuna ma jeszcze w rezerwie dla niejednego z Towarzyszy.

Stefan Szembek.

KRONIKA.

Na Wystawę krajową r. 1894 zbiera się coraz więcej okazów łowieckich, ale trzeba jeszcze, aby każdy wierny druh z pod sztandaru św. Huberta myślał bezustannie o Wystawie w czasie polowań kniejowych i odkładał dla niej rzeczy najciekawsze i najpiękniejsze, bo musimy przecież urządzić Wystawę łowiecką, co się zowie wspaniałą!

Towarzystwo lisowickie postanowiło wystąpić w pawilonie leśno-łowieckim zbiorowo z najcelniejszemi trofeami swych członków, okazami pięknej broni, tabelą statystyczną polowań i ubitej zwierzyny w ciągu 23. letniego swego istnienia i t. d. W obec tego, że „Lisowczycy“ to najdzielniejsi myśliwi w kraju, i że knieje ich to istny zwierzyniec przyrody, gdzie rozmaita zwierzyna gdzieindziej nieznana pod lufę przychodzi, można już z góry wiedzieć, że zbiorowy ten występ wspaniale wypadnie.

W ślad za tem powinnyby i inne towarzystwa łowieckie na prowincyi, a przedewszystkiem Towarzystwo myśliwych im. św. Huberta we Lwowie pomyśleć o tem, aby z datami swego łowieckiego działania i trofeami na wystawie wystąpić. Zamiłowanie łowiectwa powinnoby w tym wypadku okazać wysiłkami pracy i ofiarami, że mamy się czem pochwalić i przed swoimi i przed obcymi.

Zaszczytnie znany rzeźbiarz i profesor państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie, p. Juliusz Bełtowski, przygotowuje na Wystawę wielkich rozmiarów płaskorzeźbę, przedstawiawiającą jeden epizod z polowań Zygmunta I. i Bony w lasach Niepołomickich.

Bielski tak te scenę opisuje:

„Z Krakowa ruszył się król do Niepołomic z królową Boną i ze wszystkim dworem na krotofile, gdzie tam miał niedźwiedzia nad obyczaj wielkiego, którego z Litwy przywieziono w skrzyni; gdy go wypuszczono w gaju blisko Wisły, poszczwano go wielkiemi psy najpierwej, które on połamał i pobił i poranił ich o sto, chłopów było o trzysta z oszczepy, którzy mu nie dali do Wisły; z przodku był nie mężny, ale potem gdy się rozgniewał, oślep bieżał na ludzie.

„Ożarowskiego herbu Rawic, podkomorzego królewskiego przewrócił z koniem. Tarło krajczy pieszo chciał do niego z oszczepem, ale mu wydar oszczep niedźwiedź, iż padł, ledwie go chłopi z oszczepy przypadawszy ratowali, i psy go w nogi wtenczas pokąsali. Puścił się potem tam, gdzie królowa stała, która uciekając przed nim, potknął się koń pod nią, spadła i uraziła się, bo była brzemienna, tamże porodziła bez czasu syna, który pochowan w Niepołomicach. Stańczyka też błazna przewrócił z koniem wtenczas. A tak, by byli nie chłopi z oszczepy ratowali, wiέleby był ludzi pomordował. Król się śmiał z Stańczyka i rzekł mu: „Począłeś sobie nie jako rycerz, ale jako błazen, żeś przed niedźwiedziem uciekał“. Odrzekł Stańczyk: „Większy to błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę“.

Szkic p. Bełtowskiego do tej sceny ma bardzo wielkie zalety.

Niedźwiedzia, ważącego 273 klgr., ubito d. 29. sierpnia r. b. w lasach Wełdzirskich w powiecie dolińskim. Ubił go nadleśniczy lasów bar. Poppera.

Niefortunni rywale. Z Warszawy donoszą, iż w lasach księstwa łowickiego, w obrębie Piła, leśnictwa radzickiego, znaleziono w tych dniach na kilkomorgowej polanie ciała dwóch nieżywych jeleni w tak szczególny sposób sczepionych z sobą rogami, iż rozdzielenie ich bez przełamania rogów okazało się niemożebne. Wedle opowiadań służby leśnej, obadwa nieżywe rogacze od dłuższego już czasu staczały ze sobą walki zacięte o względy jednej łani. Widocznie w jednej z takich walk nastąpiło nieszczęśliwe a rzadkie w kronikach myśliwskich sczepienie się rogów walczących w sposób, który uniemożliwił żywienie się i wywołał śmierć głodową. Jak zaciętą była walka rywali o życie, świadczy cały morg gruntu, na którym ich znaleziono; był on doszczętnie zorany kopytami. Z polecenia zarządu dóbr, odcięte głowy jeleni, wraz ze sczepionemi rogami, przesłano do warszawskiej pracowni wypychania zwierząt p. Szczepańskiego.

Albinos. W Popicach na Morawie ubił tej jesieni leśniczy tamtejszy kozła, myłkusa, ważącego tylko 14·7 kilogramów, który miał całą sierć srebrzysto-białą, a blado-żółtą mordkę, która w stanie normalnym jest czarną.

Myś od pioruna zabity — to wypadek, któremu równego nie znajdzie zapewne w zapiskach łowieckich. O wypadku takim donoszą z włoskiego Tyrolu. Pastuch znalazł nieżywego niedźwiedzia u stóp wysokiej jodły, która była świeżo piorunem rozszczypana. Na ciele biednego mysia nie było żadnej rany, legł przeto najwidoczniej ugodzony iskrą elektryczną.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.